

Zuza
albo czas
oddalenia

**JERZY
PILCH**



**JERZY
PILCH**

Zuza
albo czas
oddalenia

Wydawnictwo Literackie

Copyright © by Jerzy Pilch
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2015

Wydanie pierwsze

Opieka redakcyjna, redakcja

Anita Kasperek

Adiustacja i korekta

Justyna Chmielewska, Henryka Salawa

Na okładce

Zdjęcie autora — fot. Olga Majrowska dla „Viva!”
oraz fotografia © Stephen Carroll / Trevillion Images

Opracowanie graficzne

Marek Pawłowski

Redaktor techniczny

Bożena Korbut

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2015

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

ISBN 978-83-08-05543-4

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Nota autora

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

Przypisy

Znalazłem ten rękopis w lewym, mocno sfatygowanym narciarskim bucie, but leżał w kamienicy na Hożej, na schodach, na wysokości drugiego piętra. Akurat winda nie działała, wspinałem się krok po kroku, a tu masz — znalezisko! Rękopis w sensie ścisłym, choć dukt wiecznego pióra trochę wyjaśniał, za to papier — kiedyś żółty — ewidentnie pociemniał. Po przeczytaniu i krótkim namyśle postanowiłem rzecz ogłosić. Oczywiście wszelkie podobieństwa — a jest ich trochę — są przypadkowe. Tytuł zmieniam, choć proponowany przez tajemniczego autora „Rękopis ukryty w bucie” też brzmi niezłe.

jp

~~Rekopis ularty~~
w kucie

ZUZA

ALB. CZAS

ODDAZENIA

1

To było do przewidzenia: na starość zakochałem się w pochopnej dwudziestolatce. Przez pochopność należy rozumieć zgodę na wykonywanie działań elementarnych za pieniądze, ergo kurewstwo. W tym, co mówię, a raczej w tym, co zapisuję, albo wszystko jest do zakwestionowania, albo wszystko jest ironiczne. Co robić — pisanie jest ironiczne, starość jest ironiczna, kurewstwo jest ironiczne. Nie tak ironiczne jak starość, ale ironiczne. Bo starość to ho, ho! Sam destylat ironii. Najprzód jej nie ma, i to długo nie ma. A potem jak już jest, to jest. Krótko i intensywnie — pęknięcie tętniaków i gnienie węzłów chłonnych idzie raz-dwa. Pory roku przelatują jak chęć. Długo trwa tylko młodość. Reszta — kipieli. Niektórzy powiadają, że miłość też jest ironiczna. W moim wydaniu na pewno.

W każdym razie połączenie jednego z drugim i drugiego z trzecim (ironii starości, ironii sprzedajności oraz ironii miłości) daje ironię do zatury.

Kwestionować? Oczywiście chętni do kwestionowania wszystkiego żalobnicy znajdą się zawsze, zawsze można przywołać frazę kwestionującą naszą zawodową pychę: „Są rzeczy mocniejsze od literatury” — na przykład język dziki, niedościgły. O, do cna zgrany, choć wciąż wielce wpływowy duchu opowieści, chroń mnie przed łatwizną parodii! Strzeż pióro przed zacnością i ironicznymi

skłonnościami mojej mowy ojczystej! Zawsze można też sklecić błyskotliwą (a więc wszystko podważającą) frazę: „Mężczyzna zakochujący się w sprzedajnej smarkuli jest w gorszej sytuacji niż kobieta zakochująca się w notorycznym uwodzicielu”. Dlaczego? Dlaczego mężczyzna w gorszej? Ach, wielkie albo tylko zgrabnie ułożone aforyzmy ludzkości nie potrzebują komentarza. Istnieją międzynarodowe kodeksy, które nie przewidują, by tacy faceci jak ja w ogóle posiadali męskość. W każdym razie świat końcówek stoi przed nami otworem.

W sprzedajnej dwudziestolatce? Zakochałem się? Facet po sześćdziesiątce opowiadający o swych wzlotach uczuciowych to jest żenada. Oczywiście każdy ma prawo etc., etc. Każdy, ale nie ja. Postna starość ogólnoswiatowa w zasadzie nie przewiduje dla mnie dymania w żadnej postaci. Moją ojczyzną jest kraj nizinny i purytański. Wielorako purytański. Za zaborów — jakże tu było purytańsko! Za Niemców, za komuny! Aż się roiło od czarnych sukienek! Purytanin na purytaninie siedział! Purytanin purytanina zwalczał! Purytanin z purytaninem się bratał!

I na tej purytańskiej równinie, na jej brzegu, jest pasmo gór niskich i starych, plemię szczególnie purytańskich purytan tam żyje, ja z nich się wywodzę. Zawsześmy szli obok historii, zawsze jej posłuszni. Ewangelicy mają kochać władzę, i szlus. Gomułki czy Gierka moi współbracia specjalnie nie kochali, nie byli pewni, czy namiestnikowska władza faktycznie pochodzi od Boga, ale

co do nich należało — robili. Dlatego — komuna nie komuna — zawsze zamożne były luterskie okolice; niestety, jak zamożne, tak nieliczne. Moim starym specjalnie rozwinięte poczucie tożsamości nie doskwierało, za młodzi na ortodoksję, raczej nie mieli nic przeciwko rozpuszczeniu się (bez opuszczania Kościoła rzecz jasna) w przywilejach klasy średniej; słowem, żyli po to, by nabyć komplet wypoczynkowy (wersalka plus meblościanka) oraz w przyszłości samochód. Wszystko się spełniło. Nie wchodzę w szczegóły, ale po samochodzie pojawiła się konieczność postawienia domu w Wiśle. Weszli w to gładko — ojca świat oswojonych przedmiotów zdawał się upajać, matka była (jak zawsze zresztą) ostrożniejsza, ja nie potrafiłem się w tej zawilości odnaleźć.

Do pisania, które w takich sytuacjach pomaga, było daleko. Kim jestem? Kim byłem? Głosem wołającego na puszczy w sprawie wiadomej — przyzwolenia dla seniorów? Podymajcie sobie jeszcze, koledzy! Kopulacja to nie jest byle co! Niektórzy utożsamiają ją z życiem.

Mnie nie przystoi miłość, nawet osłonięta woalem fikcji literackiej. Zakochałem się! Darujcie, moi drodzy parafianie — tak powiedzieć to nie tylko nic nie powiedzieć, ale też skłamać, narzucić fałszywą tonację, popaść w faryzeizm — nie ma błędów bardziej kardynalnych.

Większość moich purytan pomarła, co wszakże w nikłym stopniu poprawia sytuację. Króluje nad okolicą

moja matka, blisko dziewięćdziesięcioletnia, pełna werwy kobieta, gotowa do walki o czystość rasy, obyczaju i gatunku. To do niej po serii klęsk pojechałem ratować ciało i duszę, to u niej spisuję przygody i przemyślenia. Mój umiarkowanie lodowaty pokój świetnie się do tego nadaje.

Swego czasu (kilkanaście lat temu) matka nie przyjęła do wiadomości mojego rozwodu i od tamtej pory żyje w lęku, iż sprowadzę osobę, która sprzeda albo spali dom w Wiśle, roztrwoni resztki oszczędności, a w osobnym pokoju na parterze przyjmować będzie mężczyzn. Celem antycypowania tej frazy i tej sytuacji mówię, jak mówi Pismo. A Pismo mówi, że „jest czas obłapiania i czas oddalenia się od obłapiania”. Nie dla erotycznej fanfaronady czy tandetnego efektu, ale gwoli maksymalnego zbliżenia rzeczy do słowa powtarzam raz jeszcze: na starość straciłem głowę dla pewnej warszawskiej kurwy. Straciłem głowę? Wszystko straciłem! Oszalałem na jej punkcie! Ożeniłem się z nią!

Głowy nie dam, ale najprawdopodobniej miała na imię Zuza. Na pierwsze spotkanie przysłała jako Sonia, po godzinie wyznała, iż naprawdę jest Bellą. Proszę bardzo. Rozbierało się widmo Soni, z łachów wyskoczyła — krew i mleko, hialuron i silikon — Bella. Zapłaciłem za kolejne dwie godziny. Udany wieczór, choć początek był nieoczywisty. Rzadkie imiona. Rzadkie i zawsze dwusylabowe — dodała.

Gdy otwarłem drzwi, lekko ją przymurowało, przez blond głowę przemknęło: w tył zwrot. Myślała, że jestem młodszy. W sumie drobiazg — sam się często w tej kwestii myślę. Samotność postarza. Zwłaszcza samotność z wyboru. Jakby tuszując tę sekundę wahania, Bella wkroczyła brawurowo. Ze skrajności w skrajność, czyli dalej spięta, a nawet zawężlona. Rozmowa się nie klei, a jak rozmowa się nie klei, to ciężko przejść na dotyk. Oczywiście czasami rozmowa tak się klei, że wyklucza dotyk, ale staramy się unikać obu tych skrajności. Zapropnowałem szybką banię i szybsze, dużo szybsze niż zazwyczaj, „przełamanie lodów”. W ich występny narzeczu „przełamanie lodu”. Na czym ono polega, z jednej strony wstydę się powiedzieć, z drugiej — łatwo się domyślić. Poszło jak z płatka; wszystkie następne „przełamania” również. Nie dam głowy, czy już wtedy nie

traciłem głowy.

Traciłem, ale jeszcze o tym nie wiedziałem. Wszystko wokół wiedziało — i stół wiedział, i okno, i podłoga, i lampa, i widok z góry schodów, i z piwnicznej perspektywy — wszystko, co stworzone i co niestworzone, albo niezbicie wiedziało, albo przeczuwało. A ja nic.

Moje pokolenie poważnie traktowało życie i jego podstawowe objawy. Najkrótsze uczucie trwało nie krócej niż dwa lata.

Ktoś, kogo pokochasz w całej rozpacz konającego serca, ktoś, bez kogo nie potrafisz żyć — już jest w pobliżu, spotykasz go, gadasz z nim, spoglądasz nań i jeszcze nie wiesz, że spoglądasz w otchłań, spierasz się z przeznaczeniem. Spotkałeś los, i to los definitywny — zostało ci tyle, że nie zdążysz się odkochać.

Po tygodniu trafiłem na anons „Zmysłowej Żanety”. Coś się nie zgadzało, coś kusilo — zaprosiłem. Słusznie się domyślacie — to była ona, tyle że na zdjęciu, za pomocą peruki i makijażu, przeistoczona w porywającą brunecicę. Tym razem zaklinała się, że naprawdę, ale to naprawdę jest Olga. A co do detali, wiedziała przecież, pod jaki adres jedzie. Takich dociekliwców jak ja już się nie spotyka — można ryzykować.

Przysięgała na serce swego psa. Pies, żywa wiązka piór do odkurzania miejsc niedostępnych, urzędowo wabił się Tetmajer. Odnotowuję ten fakt, ponieważ — jak to u psiar bywa — darzyła go wariackim uczuciem. Czy byłem zazdrosny o zwierzę? I to jak! Zawsze traktowała je jak uwielbiane i do granic rozpieszczane dziecko, a z czasem nabrała pewności, iż urodziła je w sensie ścisłym. Pytałem o poetyckość nazwiska. Głucha cisza była odpowiedzią. Nie uwierzycie, ale słowo, czy nawet dźwięk: Tetmajer, wybrała przypadkowo. Gdzieś coś słyszała — to wszystko. Wszystko, czyli nic. Tetmajer alias Teddy, alias Teodor. Mania używania licznych imion odcisnęła się i na psie — skromnie, bo skromnie, ale jednak.

Co tu zresztą wydziwiać. Jeśli dziewczyna ma, dajmy na to, trzy, cztery ogłoszenia, każde pod innym pseudonimem, jeśli w imię rzekomej czułości, a po

prawdzie i istotowego podbicia stawki, szepcze ci do ucha swe rzekomo prawdziwe imiona, jeśli na dodatek jeszcze inaczej przedstawia się koleżankom, jeśli sędziwi — w moim wieku — goście, coś sobie ubzdurawszy, nagle zaczynają zwracać się do niej imionami, które nie wiadomo skąd wzięli, powstaje wystarczająco wstrząsająca onomastyczna zawierucha.

Zuza — nie może być pełniej. Oczywiście nie dlatego, bym miał samobójczą ochotę na tytuł „Zuzanna i starzec”. Jestem w upadku, ale nie aż takim. Zuza i bez starców jest wystarczająco perwersyjna. Inaczej: to imię nigdy całkowicie nie obywa się bez lubieżnych podglądaczy, ich cienie zawsze są gdzieś w pobliżu, drzemią, śpią, nie żyją — na każdy sygnał gotowi do zmartwychwstania. Ich gapienie się mocniejsze od śmierci. Gapię się jak oni. Jest na co. Historii Zuzanny w naszej purytańskiej Biblii nie ma — połączenie owocu zakazanego z papirusem zawsze robiło na mnie wrażenie.

Zuzanna może im powiedzieć: „tak”, bardzo mało brakuje. Oni ewidentnie mieli do czynienia z Zuzami, które nie mówiły „nie”. I doskonale wiedzą, co uczynić, by choć z daleka nasycić się jej odsłoniętym widokiem. „A była Zuzanna delikatna i pięknego wejrzenia. A ci przewrotni kazali ją odsłonić (bo była zakryta), żeby się przynajmniej tak nasycić pięknnością jej”.

Usta Zuzy jako sznur hialuronowy — dokładnie odmierzona dawka, jest pełniej, ale bez karykaturalnego rozdęcia. Piersi Zuzy — arcydzieło chirurgii plastycznej. Serio. Zawsze twierdziłem i nadal twierdzę, że lepsze piękno syntetyczne niż brak naturalnego. Lepsza cielesna konstrukcja niż anatomiczna zapaść. Nie ma się co łudzić, i

w tej dziedzinie ślepe przywiązanie do natury daleko nas nie zaprowadzi. Najstarsi ziemscy starcy zamiast się cieszyć, że dożyli epoki ciała skorygowanego, nadal uważają, że jest to nie do przyjęcia. Wyrażenie „sztuczny biust” wymawiają z pogardą i wstrętem, decydujące się na ingerencje chirurgii plastycznej młode dziewczyny uważają za niespełna rozumu zwyrodnialczynie etc., etc. Nie ma co demonizować. W dzisiejszych czasach młodzież inwestuje we własne ciało, a już młodzież żyjąca z piękna swego ciała musi to robić. Muszą poprawiać po Panu Bogu i nie ma na to rady. A jak nie ma na to rady, wpierw trzeba ustąpić, potem docenić. Ciało stało się szatą, której model i krój można zmieniać, że o drobnych poprawkach (krawieckich) nie wspomnę. Czy wielokrotnie przerabiana szata zdoła zadowolić duszę — nie wiem. Nie wiem, ale dlaczego nie? Im bardziej ciało przerabiane, tym dusza ma większe wymagania.

Oczywiście nie mówię o przypadkach skrajnych, nie mówię o dziewczynach zarabiających wyłącznie na kolejne operacje plastyczne, nie mówię o dziewczynach, dla których operacje tego typu stały się celem samym w sobie, o dziewczynach uzależnionych od kolejnych chirurgicznych poprawek. Nie mówię o ofiarach, których ciała zniekształciły botoks i nigdy nie znikająca opuchlizna.

Zastrzeżenia są tak oczywiste i tak łatwe do obalenia, że nie odmówię sobie nazwania rzeczy po imieniu — obecnie pieniądze są moją młodością? Gotówka miłością? Nie dar otrzymuję, a towar kupuję? Tak powiadacie? Taką, moi drodzy antagoniści, wysnuwacie rację? Ależ oczywiście! Jestem całym sercem po waszej stronie. W stopniu o wiele znaczniejszym, niż się wydaje, kasa jest konieczna. Kasa jest tu warunkiem niezbędnym. Nie tylko transakcji, ale i uniesienia. Nic na to nie poradzę, ale kręci mnie płacenie. Inaczej powiem: ponieważ lubię sytuacje czyste moralnie, z najwyższą ochotą płacę dziewczynom. Rzecz jasna, grosz jest zarazem elementem wyuzdania i perwersji. Bez grosza ani wzwodu, ani orgazmu, ani czułych szeptów nad ranem. Tak jest: złoty polski w jej dłoniach jest moim eliksirem młodości. Dokładniej: jest obrazem, który działa jak eliksir młodości. Wręczam jej wiadomy zwitek, patrzę, z jaką czułością składa banknoty, i czuję, jak elastyczniej mi mięśnie, wygładza się skóra, ciemnieje siwizna. Czasami i tak bywa. Nieporównanie częściej natomiast wzrasta jej przychyłność dla mojej starości. Kasa wyzwala w niej takie pokłady gerontofilii, że maluczko brakuje, bym uwierzył może nie w miłość prawdziwą, ale w czystość układu. Kobieta, która wzięła kasę, jasno i wyraźnie mówi: „Zgadzam się. Zgadzam się, ale dorzuć jeszcze stówę”.

Pewnie, że tak, napiwek musi być. A o cóż innego idzie? Oczywiście są takie, co jedynie pragną bez strat odpekać przykry obowiązek — długo one z nami nie

zabawią. O nich się bardzo złe rzeczy słyszy. Żyją bez zasad, a to jest niemożliwe. Każde, nawet najniższe położone miejsce ma swoje zasady.

Ach, dożyć przyjaznej frazy i pa, pa, ziemio cudowna. W ogóle czegokolwiek dożyć. Czego? Jak to czego? Zdrowia, szczęścia oraz gruntownej rewizji planów samobójczych.

Nie pamiętam, czy wspomniałem, że zakładałam teczkę przeznaczoną na wycinki parkinsonowskie? Mogłem nie wspomnieć, bo zgęstka spraw była znaczna, a wycinków zero. Dopiero wczoraj jeden, ale rozległy: „Robin Williams zabił się, bo miał parkinsona”. Dobra fraza, można powiedzieć, i nagrody godna. Miał, a może nie miał. Wczesna faza parkinsona rzadko bywa zejściowa. Raczej budzi zachwyty. Zachwyty ten z czasem bokiem wam wylezie, na razie jest w powijakach.

Oto dosięgnęła cię jedna z najdotkliwszych chorób ludzkości, a ty mimo to radzisz sobie! Uporządkowałeś sprawy. Z sobą samym do ładu doszedłeś! Żyć, nie umierać! Zresztą nie wiadomo. Williams podobno napić się lubił, a i szkodliwe, wyniszczające depresje nim miotają! Czyli mogło być rozmaicie. Parkinson nie musiał być jak spod igły. Chłanie, choć straceńcze, mogło być pod kontrolą. Akcja toczyła się w USA, a tam nigdy nie wiadomo. Przeważnie leczą się nie ci, co powinni. Nie przepadałem za tym aktorem o dziwnej twarzy. Jako

młodzieniec mógł być starcem. I na odwrót. Żadne mecyje, ale jak na Hollywood role zbyt erudycyjne. Zanim zaczął, już był dobry. No ale rozumiem — depresja z powodu urody cheerleaderek (chodził, podobnie jak Staszek Barańczak, na NBA) mogła działać nieobliczalnie. Wymyśliliście koszykówkę — grę, w której każda akcja kończy się punktem, i myślicie, że ujdzie wam to bezkarnie!

Dodatkowy walor Zuzy: brała pieniądze w taki sposób, jakby wahała się, czy wziąć. Już prawie nie brała, a w ostateczności brała.

Dożyć frazy wyznawczej w miłości prawdziwej — owszem, można, ale jak powszechnie wiadomo, nic tak hucznie nie mija jak miłość przelotna. Zwitek banknotów — też, ale jakby mniej. Pytanie, skąd mam kasę, na szczęście nie padło. Skądś mam. Mówić o tym niezręcznie. Dżentelmeni etc. Poza tym w porównaniu z prawdziwą kasą — moja kasa marna i żadna.

Kręcił mnie jej fach, kręciło wyobrażenie kilku otaczających ją równocześnie mężczyzn. Przyglądałem się im uważnie, każdy był mną i tu było sedno mojej ciemności. Oczywiście łatwo tę ciemność rozjaśnić i powiedzieć, że po prostu jestem gotów, by brać w posiadanie i równocześnie gapić się, jak biorą w posiadanie, i że od zawsze szukające mocnych wrażeń, teraz otępiałe i wypalone zmysły potrzebują coraz

większych dawek. Można powiedzieć, iż mam wyraźną skłonność do uprzedmiotowiania kobiet.

Powoli, powoli. Najprzód trzeba odpowiedzieć na pytanie: czy są kobiety, które pragną być uprzedmiotowiane? Oczywiście, są. I właśnie w takiej archaiczności ja buszuję.

Jak w tych ustaleniach mieści się Zuza? Mieści się i nie mieści. Zależy od dnia. W moim spaczonym nie spaczonym wyobrażeniu zachodzi coś, w czym może w ogóle nie brała udziału. Coś poniżej wyobraźni Włada.

Włada (zwanego w pewnych kręgach Nedovladem; aż takie alter ego?) Zuza poznała jak wszystkich, w ten mianowicie sposób, że był jej klientem. Niewyraźny był jak diabli. Nie sposób było czasem nie pomyśleć, że należy do naszych panicznych wymysłów, że jest, ale jest kłamstwem.

Coś, co sobie roję, jest zatem stanowczo poniżej wyobraźni typowego Włada, który już się zdecydował, ale zawstydzony, chce mniej. Zuza była mistrzynią świata w sugerowaniu, iż woli więcej. Gdyby na tym temat się wyczerpywał, nie wdawałbym się w wyniszczające romanse, nie zakochałbym się w Zuzie i nie dałbym jej wolności prawie nieskończonej. Gdybym traktował ją jak przedmiot, chciałbym ją na własność, a ja wręcz przeciwnie. Od samego początku, a od oświadczyn z całą mocą, podkreślałem: „Jesteśmy razem, ale ty nadal robisz to, co robisz”. Wtedy nie rozumiałem, że bycia z kimś na zwyczajnych zasadach nie da się pogodzić z zasadami

najstarszego zawodu świata. Niby wolny od przesądów, popełniałem klasyczny błąd chorobliwego zazdrośnika. Chciałem być przy wszystkim, i ta ochota wszystko neutralizowała i wszystko psuła. Jedno, co dobre: nikogo nie nawracałem. Tylko tego brakuje, żebym nawracał. Nie ma się czym szczyścić. Trzymanie się powściągliwości wydało mi się nad wyraz dojrzałe, rozumne i oczekiwane. Czuję, że dziewczyny sto razy bardziej wolą tego rodzaju akceptację niż infantylne próby podnoszenia ich z upadku, wyzwiania z seksualnej niewoli, wyrywania ze szponów handlarzy żywym towarem czy innych alfonsów. Z moich obserwacji wynikało, iż prawie wszystkie (mówię o elicie, *crème de la crème* dziwkarstwa) uwielbiają seks i kochają kasę, wobec czego proponowanie im drastycznej redukcji jednego i drugiego jest dramatycznym nieporozumieniem.

Może nie goły jak święty turecki, ale regularnie tracący płynność finansową, miałbym po staremu działać? Dlaczego nie? Jakbym akurat miał środki. Każda, absolutnie każda ma takie pomysły. Ach, porzucić miasto, porzucić dotychczasowe życie wraz ze wszystkimi jego rekwizytami. Mini — won. Dekolty — won. Bielizna — won. Przysięgi i obietnice, choć ze szczerego serca płynące, trudne do spełnienia. Za choć częściową kasę? Kasa rzecz poważna.

Każda z nich marzy o szczęśliwym bytowaniu w małym domku pod Warszawą. Czas czystości jednak mijał, a jak mijał, tamto rozpasanie wracało. Mówcie, co chcecie:

recydywa grzechu jest piękna. Dekolty, bielizna, mini, wszelkie ciuchy niezasłaniające, a obnażające do łask przywrócone. Nieraz, stęskniona poprzedniego życia, wymykała się za dnia, lub częściej nocą, i dawaj na miasto! Coś ekstra na taki wypad trzeba założyć. Zaglądać w duszę? Po co, skoro gołym okiem widać, że goła?

Mogłem się mylić i prawie na pewno się myliłem. W końcu opowiadał o ich wolności, do której moim zdaniem w nikłym stopniu, ale jednak się przyczyniłem. Jak powszechnie wiadomo, piewcy naszej wolności, nawet ci istotnie dla niej zasłużeni, na ogół się mylą. A nawet jeśli jakimś cudem się nie myliłem, to nie doceniałem ani odwiecznego głodu romantyzmu, ani klasycznie kobiecej sztuki godzenia sprzeczności. Tak jest, one pragną wyzwolić się z tej sytuacji. Z upodobaniem nurzając się w rozpuście, chętnie przyjmą wersję, iż ktoś je w tej rozpuście topi.

„Hulałem tam. Ojciec dzisiaj mówił, że po parę tysiączków płaciłem za uwiedzenie cnotliwych panien. To świński fantom, nigdy tak nie było, a co było, to że na «to» niepotrzebne były pieniądze. Dla mnie pieniądze to detal, gorączka duszy, okoliczność. Dzisiaj, dajmy na to, ona jest moją damą, a jutro zamiast niej będzie uliczna dziewczynka. I tę, i tamtą zabawiam, pieniądze rozrzucam garściami, muzyka, zgiełk, Cyganki. Jak trzeba, to jej też daję, a biorą, biorą z zapalem, to trzeba przyznać, a zadowolone, a wdzięczne! Jaśniepanienki mnie kochały, nie wszystkie, ale zdarzało się, zdarzało; ale ja zawsze miałem gust do ciemnych uliczek, do zakazanych zaułeczków za rynkiem — tam to i przygody, i niespodzianki, i prawdziwe bryły złota w błocie. Mówię, bracie, alegorycznie. W naszej mieścince takich materialnych uliczek nie było, ale moralne były. Gdybyś jednak był tym, co ja, pojałybyś, co one znaczą. Lubiłem rozpustę, lubiłem też hańbę rozpusty”.

Fiodor Dostojewski, *Bracia Karamazow*[\[1\]](#)

Zwracaliśmy uwagę? Powiedzmy jasno: Zuza zwracała uwagę. Głównie dekolcami. Skądinąd trudno się dziwić — nie po to ufundowała sobie za ciężkie pieniądze fenomenalny biust, by teraz go skrywać. Jasne. Ale ona nie miała ani jednej szmaty, która by nie była drakońsko wycięta. Wprawdzie uwielbiałem tę linię, jednak gdy ekstremalnie obnażona laska romantycznie wisała na moim ramieniu w samym centrum miasta, czułem się niepewnie. Nie wyglądaliśmy na dziadka i wnuczkę zmierzających do cukierni. Ubierz się jak uczennica — prosiłem. Przychodziła w przyciasnej białej bluzczynie, nie pytajcie, na ile guzików zapiętej.

Wróćmy do pierwszego uroczystego obiadu: wchodzimy do knajpy, rozglądamy się za wolnym stolikiem, znajdujemy, zmierzamy doń, wszystko OK, i nagle widzę — nic nie jest OK. Zuza niby ta sama co przed chwilą, a całkiem inna, poważna i nieobecna.

Wzruszyła się naszym pierwszym wspólnym obiadem? Mało prawdopodobne. Rzucam okiem na salę i zaczynam się domyślać.

Z seksem tak samo, a nawet gorzej. Ryzykowna znajomość zaczyna się od seksu, od przełamywania lodu, od wszelkich wyuzdań, za jakie zapłaciłeś. Zapłata — przypominam — też jest wyuzdaniem. Zakładając, iż chcemy „szybko”, niechybnie dostalibyśmy „powoli”. I na odwrót. Warto się zastanowić, czy warto. Oczywiście warto. Prędkości nic nie zastąpi. Kupuję ciebie wraz z twoją intymnością — jeśli to nie jest kręcące, to co jest? Było pytać: jeśli to nie jest wybuchowe, to co jest? Kupuję ciebie, gwiazdo na niebie.

Mimo takich inwestycji zwykle jest tak, jak jest za pierwszym razem w darmowym życiu — średnio. Kupuję wszelkie przyległości wraz z narzeczonym; wraz ze wszystkimi narzeczonymi? — to kręcące nie jest, ale jest. Udępka gratis, uniesienie pięćset — w sumie średnio. Z Zuzą było średnio, ale nasza miłość była już gotowa. Wystarczyło zapalić jej światła. Szkoda, że Zuza tego nie wyczuła.

Po niezbędnej przerwie próbuję odczytać, co ostatnio wiecznym piórem na żółtym papierze napisałem, i niektórym fragmentom nadziwić się nie mogę. Moje pretensje są doprawdy pretensjami dziecka. Nie wyczuła, bo nie kochała. Mnie nie kochała. Anteny nie w moją

stronę wystawione. A że z intuicją generalnie nietęgo — cóż się dziwić. Wyniszczająca praca, całe dni spędzone przed lustrem, wieczna troska, by wieczorem dobrze wyglądać, ciało wędrujące swoimi ścieżkami, dusza na niebieskich migdałach, ciało oddzielające się od duszy, ciało udoskonalane, ale na siebie skazane — wszystko to nie służyło intuicji. Nie mogłem pomóc, byłem otepiąły ze starości. Brałem poza tym silne leki antyparkinsonowskie, na parkinsona nie działały prawie wcale, dawały za to nieopisany szwung erotyczny.

Daję chyba setny wers podziwu. Uroda Zuzy nie do przecenienia. Sztuczność doskonałą imitacją naturalności. Profil harfy, odpowiednia miękkość i zero blizn. Powiedzmy — jedna blizna, jedno niefortunne wyrzucenie. Z początku niezauważalne, potem drażniące. Na razie zachwył.

Przy jej szczupłej sylwetce, butach na wysokim obcasie i zupełnej swobodzie poruszania się wyłącznie w tych butach — efekt dławiący. Oczy brązowe — to nie byle co, laski z branży mają przeważnie jasne, radykalnie jasne oczy.

O oczach kurew traktat mógłbym napisać. O ich jadowicie jasnych oczach. Białe oczy kilerek i snajperek. Dlaczego sprzedajne laski mają jasne oczy? Jak brązowe, to w zasadzie żółte, jak niebieskie, to świetliście szare, jak zielone, to jak ścięta mrozem trawa. Jak granatowe, to

błękitne. Niepodobna nie pomyśleć, że są to oczy pobielełe z zemsty, rozpaczy i furii, jaśniejące namiętnością i bezwstydem. Prastara klechda głosi, iż w dzieciństwie, może nawet we wczesnej młodości, wszystkie te panny były ciemnookie. Dopiero w miarę wstępowania na złą drogę gorycz tak finezyjnie się somatyzowała. Źrenice bieleły. Dziś bez wyjątku: jasne, suche i lodowate. Zuzine — ciemne, wilgotne, namiętne.

Boże mój, Zuza... Mam sześćdziesiąt sześć lat, trzy małżeństwa i masę przygód za sobą, kobiety były zawsze moją pasją i moim szaleństwem, celem życia. Żyłem dla zwierzęcego, a może boskiego daru dotyku, ale nigdy nie byłem w takiej pasji, w takim szaleństwie i w takim zachwycie jak z tobą. Dotykane twoich nóg, pleców, ramion jest aktem uniesienia ducha, wymodloną redukcją świadomości. Po cóż ma mnie być więcej? Chcę istnieć o tyle, o ile — Panie Boże — dotykam jej biodra.

Jest — początkiem miłości, błędem dotyku, ciałem w obłądnie. Dziewczyna mi się podoba, pragnę jej dotykać. Starcze urojenia? Kto bierze w ramiona kobietę o czterdzieści lat młodszą, trudno, żeby nie miał uciechy. Nawet jak ma sto dwadzieścia. Kto prowadzi dziennik, trudno, żeby tego nie odnotował. Stary satyr i młodziutka nimfa — uparcie eksponujące ten motyw starożytne ludy wiedziały, co czynią. Młodsze, dużo młodsze partnerki mają godną uwagi zaletę: nie naruszają samotności. Są tak

zasklepione w nieskończonym życiu, że rzeczy skończone nie mają do nich dostępu. Możesz być terminalnie chory, możesz mieć — właśnie — sto dwadzieścia lat, one i tak nie zwrócą na twój rychły koniec uwagi.

Nie z racji wyrzutów sumienia, ale z racji dziwacznej pychy ta kwestia raz po raz wraca. Jaka kwestia? Kasy. Zgoda — nikt nie lubi wydawania pieniędzy, zwłaszcza nikt nie lubi wydawania pieniędzy na darmo, a nawet przeciw sobie, bo przecież zawsze jest poczucie niesmaku, lęk przed chorobą i kac egzystencjalny. (Zwykły też — przeważnie coś wypić trzeba). Otóż ja nigdy nie miałem żadnego lęku, niesmaku, ogólnoegzystencjalnego ani zwykłego kaca. Przeciwnie, zawsze mi się wydawało, że za parę groszy otrzymuję absolut — ciało kobiece. Kręciło mnie ono, kręciło nawet, jak było nieco sfatygowane, kręciło mnie, że płacę jego właścicielce, kręciło mnie, że płacą jej inni, kręciło mnie, że uprawia seks z innymi. Oczywiście za pieniądze — gdyby obcowała z nimi za darmo, ergo z entuzjazmem, rychło zdechłbym ze zgryzoty. A raczej z obojętności i nudy. Ja nie potrzebuję kobiety wiernej i oddanej. Ja potrzebuję niewiernej i wyuzdanej. Wychodzę na tym jak Zabłocki na mydle; żadna z tych, na których mi prawdziwie zależało, nie była mi wierna. Ale dopóki była, to była. Nie znam bardziej dławiącego zakręcenia. Ale tylko ta jedna perwersja ożywiła i rozjaśniała nurty ciemnej i gęstej starczej krwi. Inna rzecz, że nigdy nie byłem pasjonatem wyuzdań, nie szukałem zabaw z jakimiś, pożałuj się Boże, rekwizytami, pozycji

zaprzeczających prawo grawitacji ani innych cudów —
jakkolwiek to brzmi — na kiju.

Ciągle mi się wydawało, że jest. Dbałem o to, by kobiety, z którymi byłem — były ze mną w sensie ścisłym. To znaczy na okrągło, przez dwadzieścia cztery godziny bez przerwy. Wspólne spacery, obiady i czytanie gazet. Wspólna fizjologia, te same choroby, ten sam zapach ciała, jednaki rytm oddechu.

Teraz piętnuje się takie związki. Nie można wchodzić sobie na głowę, to czysta toksyka, nawet w amoku miłosnym nie wolno tłumić potrzeb drugiego człowieka, najbardziej kochająca się para musi dbać o margines — i to spory margines — wolności etc., etc.

Otóż albo jesteście parą, albo nie. Jak jesteście, to nie tylko włożymy sobie na głowę, ale też na ramiona, piersi, tułów, ręce, nogi, płuca, nerki, serce, też na flaki, mózg, ślepą kiszkę. Do zesrania, uduszenia, utraty wszystkiego — swoistości, indywidualności i wolności zwłaszcza. Nie ma dystansu, respektu i innych klęsk — jest wzajemne pożeranie siebie. Jeśli szczerze kochasz, w zasadzie cię nie ma. Twoje ciało po katastrofie, którą jakimś cudem przeżyłeś, zmieszane z jej szczątkami — co jest czyje? Twoja dusza z tamtą połączona nie zna dokładnie swoich granic. Konieczny nie tylko dwuosobowy sedes, ale i trumna. Prawdziwa miłość ma wysoką temperaturę i z lekka cuchnie rozkładem. Prawdziwa miłość to szaleństwo

— para szaleńców pielęgnujących niezależność? Ani szaleństwa, ani miłości, ani niezależności. „O każdej dobie będę ja przy tobie” — oto dewiza tych, co po staremu wierzą w niezapomnianą utratę zmysłów, rozumu i przytomności. Albo miłość, albo wolność. Moje były znają tę poezję; Zuza poznała zaledwie wstęp, i to niecały. Zasypiałem w fotelu, budziłem się i byłem pewien tak jak zawsze: ktoś jest przy mnie. Z kuchni dochodził jakiś szelest, nic dziwnego, ktoś przecież ze mną mieszka. Kto? Nie jestem pewien, w której fazie życia się obudziłem.

Starzy rabini powiadają: liczy się tylko pierwsza żona, reszta to zawracanie głowy. Zapewne mają rację. Dwie moje następne żony to było tragiczne nieporozumienie. (Nie następne po Zuzie, tylko po pierwszej i drugiej; Zuzia jest ostatnią miłością, Nulla była pierwszą — a po niej dwa fiaska). Raz uwierzyłem, że magia urody przewycięży wszystko, za drugim razem nadziałem się na niby słusznie wykombinowane przeciwieństwo — niestety tak zwana więź intelektualna, czyli niekończące się rozmowy, również nie przewyciężała wszystkiego; też nie ocalały, nie pomagały, nie uzupełniały, nie leczyły i Bóg wie czego jeszcze nie robiły. W istocie i wbrew założeniom druga była ładna i wszystko inne przestało znaczyć. Zawarliśmy też coś w rodzaju precyzyjnie sporządzonej umowy handlowej. To a to za to, a to a tamto za to. Poza tym święty spokój. Zawsze marzyłem o takim układzie. Okazuje się, nie znam się na ludziach. W pierwszym przypadku ciężko wyjść z łóżka, w drugim ciężko pójść do łóżka.

Natomiast pierwsze małżeństwo to był wyczyn. Zarówno w sensie jakości, długości, namiętności, jak i wszelkich innych okoliczności. Dziś już prawie nikt tak nie żyje, wtedy wieczność była bez miar. Zaczęliśmy wcześniej — w drugiej licealnej, czyli koło 1964 roku, a

rozwodziliśmy się trzydzieści lat później, gdzieś w połowie lat dziewięćdziesiątych. Byłem gotów do startu jeszcze wcześniejszego. Nulla wpadła mi w oko od razu pierwszego dnia, gdy stłoczonych na dziedzińcu nastolatków z groteskową pompą przyjmowano do szkoły średniej. Szczerze mówiąc, niepodobna było nie zauważyć wysokiej, zgrabnej, długowłosej blondynki otoczonej wianuszkami koleżanek, które wyglądały ładnych parę lat młodziej, czy raczej należałoby powiedzieć: infantylniej. Nulla była już kobietą, one jeszcze nie. Ona znała sekrety makijażu i rozjaśniania włosów wywarem z rumianku, im takie kunszty zdawały się grzechem. Znała smak alkoholu, papierosów i nie tylko. One uważały to za zbrodnię. Nie założyłbym się, że była dziewicą, i przyjąłbym każdy zakład przeciwny. Nie byłem jej ulubieńcem. Wyglądałem nieco niedojrzale, miała chłopaka w dziesiątej klasie — nic poważnego, ale był. Kiedy się zorientował, że lada chwila go nie będzie, walkę podjął przykrą i czasochłonną. Nulla wygrała łatwo, nie kochała go. Rzecz w tym, że mnie też nie kochała. Ale byłem do przyjęcia. Teść mnie lubił, nie tylko dlatego, że — jak się okazało — kibicowaliśmy tej samej drużynie piłkarskiej; z czasem dochodziłem do wniosku, iż powiedzieć: „lubił”, to nic nie powiedzieć; nie nadużyję zasady braku patosu, jeśli wyznam, iż mimo moich licznych upadków nigdy nie stracił we mnie wiary. Tak się jakoś składało, że jeśli idzie o najbliższych, najbliżej był zawsze on.

Przed nami była wieczność, i to było dobre. Teść bardzo pilnował, by nie gadać byle czego. O wieczności, starości, śmierci. A gdy jakieś przypuszczenia czy jakieś uwagi jednak padały — jeżył się wściekle. Strategia polegała na unieważnianiu przyszłości, która kiedyś przyjdzie. A może nie? Może zawsze będzie nijako, ale z życiem? Może starość będzie uleczalna?

Jako wyraz koniecznej wyniosłości traktować należy odmowę postawienia na parceli sracza, ergo budowli, od której — jak najśluszniej zresztą — zaczyna się na ziemiach polskich wszelkie prace budowlane. „Przepraszam, dyrektorze, a gdzie pan w razie czego?”. „W krzakach, jak tysiące moich przodków” — odparł teść. W głębi ducha dodał jeszcze, że zamierza spędzić tutaj „resztę wieczności”, ale nie brnął dalej, majster był wystarczająco sponiewierany.

Tymczasem życie przyspieszyło, a jak ono przyspiesza, to zawsze źle się dzieje. Źle u mnie i źle wszędzie.

Chodzić z rówieśnikiem nie było zbyt wyraźnie. Wtedy układ: on młodszy, ona starsza, on niższy, ona wyższa — nie był specjalnie popularny. Kryć się? *Why not?* Niezbadane są ścieżki damskiej dumy erotycznej. Prócz tego w tamtych czasach dotyk nie był tak ważny dla niej, jak dla niego. Ale była uprzejma. Można powiedzieć:

wyszła za niego z uprzejmości.

Nulla mieszkała dosłownie dwa kroki od szkoły, na ulicy Dzierżyńskiego. Sto albo i dwieście razy planowałem opowieść pod tytułem „Miłość na ulicy Dzierżyńskiego” — wreszcie wybiła godzina. Godzina szkicu.

Historia powinna się rozpaść. Prawdopodobieństwo fabularne nakazuje rozpad. Do matury powinni nasycić się sobą i pa, pa. Z pierwszego pocałunku wspomnienia złe i mgławicowe. Drobiazg, ale fundament krzywy. Jak się ma szesnaście lat, podejmuje się doniosłe decyzje na całe życie; ich trwałość jest wprawdzie żadna, ale młodość trwa długo. Masz 16 lat i to się zgadza, ale mając 26, dalej masz 16, i 36, 46, 56, 66 — dalej, matko, jesteście szesnastolatką. Z natury rzeczy reszta życia jest przeraźliwie krótka. Na dodatek panuje nuda i mówi się: „nie”.

Rzecz w tym, że oni nie mówili: „tak”. Za nich „tak” mówili wszyscy wkoło, otaczała ich tak zwana życzliwość. Nikt się nie sprzeciwiał, wszyscy popierali. A przecież purytanie z południowych kresów powinni mieć za złe. Czerwona narzeczona? Każda lepsza, każda: biała, czarna, żółta — każda lepsza. Inna sprawa, że mieli doświadczenie; parę (parę par) różnokolorowych narzeczonych, zamiast zmienić ubarwienie, pozwoliło się uprowadzić dzikim i nieukształtowanym purytanom, którzy zgoła nie po purytańsku robili z nimi, co chcieli. Wstyd? I to jaki! A miejsca na spory ideologiczne nie było. Przyszli

teściowie wierzyli w materializm dialektyczny i kwestionowali istnienie Boga, choć bez przekonania. Drudzy z kolei rodzice bez przekonania wierzyli w Boga. Na powagę w tym względzie byli za młodzi. Obie strony miały swoje zasady, ale trzymały się ich ledwo, ledwo. Jak tu toczyć bój o pryncypia, skoro pryncypia znane są po łebkach? Starzy byli za, ponieważ liczyli, że w razie czego teść pomoże. Teściowie byli za, ponieważ liczyli, że starzy będą na nich liczyć — poprawiało im to samopoczucie. Starzy byli za, ponieważ mieć wejścia w reżymie należało do dobrego tonu. W zasadzie mogliśmy wszystko prócz tego, na co mieliśmy prawdziwą ochotę.

Matka Nulli, kobieta przenikliwa, nakryła nas tyle razy, że sama się ewentualnej pustce w domu dziwiła. Pracowała w pobliskiej szkole i powszechnie było wiadomo, że raz po raz do domu wpada. I co? Nic. Seks był wart tego rodzaju wpadki. Najprawdziwszy w świecie seks z prawdziwą kobietą. Nie trzeba było mitrzyć czasu na wyobrażanie sobie biustu, nóg czy ramion. Wszystko było tam, gdzie trzeba.

Dwukrotnie nakrył nas ojciec Nulli, a nakrywszy, natychmiast jął to nakrycie maskować, żeby broń Boże nie było nam przykro, żebyśmy broń Boże się nie rozmyślili. Kiedyś literatura tomy całe poświęcała wiwisekcjom tragicznych losów kochanków, którzy nie mogą ze sobą być. Dzisiejsi autorzy zapewniają: „Koniec tragedii”. Trachajcie się!

Ojciec Nulli był ważnym działaczem partyjnym

wojewódzkiego szczebla, grozy wszakże nie siał, zajmował się kompletnym science fiction, czyli ekonomią socjalizmu — opracowywał plan rozkwitu dobrobytu w Polsce do roku 2000. Sprawiał wrażenie człowieka niezwykle surowego, w istocie jednak zbójcka powierzchowność kryła gołębie serce. Domysł, że przystał do komunistów z dobroci, nie jest całkiem od rzeczy, dochodził jednak jeszcze awans społeczny, niebagatelny dla mieszkańca podkrakowskiej wioski. Jezu, jaka tam bieda panowała! Pociąg przedzierał się przez Śląsk, ciemną krainę obfitości, i nabierał rozpędu pomiędzy chałupinami krytymi słomą. Na Śląsku czarno było od żyznej sadzy, tam złociście od niejadalnej słomy.

Mieliby jedno buty do spótki z bratem, jedną koszulę, jeden garnitur — a tak było ile dusza zapragnie par butów: letnie, zimowe i wiosenne. To samo z koszulami, z ekstra szytymi modnymi garniturami. Teść na dobra pazerny nie był, ale podstawy świadczyły o trafności systemu, który produkował rzeczy niemieszczące się w głowie. Cóż, że krótkie serie zaledwie dla kacyków wystarczające? Wiadomo, że to się zmieni. Z czasem pojawiały się dobra, o których się nie śniło: olbrzymie mieszkanie, urlopy w tajnych pensjonatach, służbowe auto z szoferem, zgięci wpół poddani. „Ma pan absolutną rację, panie dyrektorze”. To właśnie dyrektor dwukrotnie nas nakrył. Znacie tę sytuację? Znacie, każdy ją zna. Nieziemski szal namiętności, a do drzwi charakterystyczny dzwonek. Charakterystyczny, czyli najgorszy. Nulla raz była w stanie

otworzyć, raz nie. Za pierwszym razem, podtrzymując gacie, schroniłem się służbówce, za drugim otwarłem i łamiącym się głosem oświadczyłem, iż Nulla się przebiera, a ja — dawałem to do zrozumienia każdym ruchem — elegancko czekam w przedpokoju. Sytuacja była ewidentna: raz niedopięta i roztrzęsiona córka, raz niedopięty i roztrzęsiony przyszyły zięć — słowo daję, nawet najwytrawniejsi marksiści wiedzieli, co jest grane. Teść, przyszyły teść, jednakże za nic nie chciał sprawić nam przykrości. Udawał, że wszystko jest w porządku, a przecież — jestem pewien — słyszał dobiegające ze służbówki bicie mojego oszalałego serca.

Raz jeszcze: gdyby po maturze ich ścieżki się rozdzieliły, mieliby szansę i na niezłą konstrukcję, i na przyzwoity koniec. Niestety nie wiadomo po co oboje poleźli na polonistykę. Syciłem się Nullą, ale — powiedzmy — mogłem podjąć decyzję, powiedzieć sobie: „jestem nasycony”. Nie zrobiłem tego, byłem naiwny jak sztubak, co poza seksem świata nie widzi. Nulla postępowała sprytnie. Może i bezwiednie, ale sprytnie. Czy pojęcie damskiego sprytu istnieje nadal i czy znaczy, co znaczyło? Otóż Nulla pewnych rzeczy nie robiła, dawała wszakże do zrozumienia, że za jakiś czas — owszem — zrobi. Chodziło o sprawy znacznie bardziej subtelne niżli seks oralny. Ale i tak: czekaj tatka latka. Najnikczemniejsza część ducha (bo nie ciała) sposobi się do czekania. Do matury dwa lata, pięć lat studiów, potem już nie czekał, ale nadal z nią był. Uzbierało się grubo ponad dwadzieścia, w istocie blisko trzydzieści lat.

Nie zdradziłem jej ani w liceum, ani na studiach, ergo nie zdradziłem jej przed ślubem. Zdrada? Boże, cóż za archaiczny termin! Pobraliśmy się na czwartym roku. Teść wydał bankiet w ekskluzywnych salach Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Z olbrzymich okien widać było całkowicie wymarły Rynek.

Uczyłem jej życie mniej trywialnym dwa lata później. Długo nie musiałem czekać — odpłaciła mi tym samym. Wiecie, jak to jest z mniejsza czym — najważniejszy pierwszy raz. Potem idzie jak z płatka. Mam potrzebę dokładnego opisanie (piórem Montblanc, replika modelu z 1912 roku) tamtej pierwszej przygody. Oczywiście nie zamierzam niczego dociekać ani infantylnie szukać złowrogich znaków.

Matkę ogarnęła fala uciążliwego optymizmu. Każdą kwestię kwituje entuzjastycznymi okrzykami. Hura! Dobrze! Mamy czas! Założenie niby trafne; zło dobrem itd. Historia ta była początkiem krętej ścieżki, która zawiodła mnie w lodowate Zuzine ramiona.

Trzecia osoba jest jak szkło powiększające...

Pod koniec lat siedemdziesiątych minionego wieku, w środku upalnej sierpniowej nocy, wysiadłem z pociągu na opustoszałej stacji Białystok Główny i z rozpaczą w sercu sprawdzałem, kiedy odjeżdża powrotny do Krakowa. Być może właśnie wtedy nabrałem definitywnej awersji do podróżowania, ale nie miałem racji, w tym konkretnym przypadku nie miałem racji, podróż, dalsza podróż, miała mi przynieść fundamentalną przygodę erotyczną. O niczym innym wówczas nie marzyłem. Mijał kolejny rok pełnej udręki młodości, dalej było wszystko OK. Moja pierwsza żona Nulla była niezwykle atrakcyjną kobietą; nie zdradzałem jej, ale zdrada nie jest funkcją urody. Notabene zdrada małżeńska dziś jest drobiazgiem, kiedyś była nieodzownym pogłębieniem instytucji małżeństwa. Mann, młody Mann, powiedziałyby: „Życie ich, życie zdradzanych odtąd nie będzie tak trywialne”.

Podobały mi się inne, ale uroda nie jest funkcją wierności. Kiedyś kłusownicy byli jak pojedynczy bohaterowie, desperaci — dziś ich imię milion.

Nie ma się nad czym zastanawiać: seksualna lewizna nie istniała — nie istniała w życiu, nie istniała w sztuce, nie istniała w literaturze. Istniała jedynie w starych katolickich instruktarzach: „Jak stwierdzić i przeprowadzić nieważność małżeństwa?”. Jedynie tam

wiarołomstwo, czyli cudzołóstwo jednego z małżonków, jest traktowane poważnie. Poza tym nigdzie, poza tym bagatela. Pójście do łóżka z żoną przyjaciela nie jest zdradą. Z żadnej strony. Kiedyś tak. Kiedyś był to dowód zupełnego zezwierżenia. Dziś nie. Czytaliście na przykład jakąś współczesną powieść poświęconą problemowi promiskuityzmu? Nie, bo nie ma takich rzeczy. Dzisiejsi autorzy nie daliby rady napisać? Daliby radę. Nie opiszesz jednak tego, co ma jeszcze mniej zasad niż pisanie. Albo istnieje w dziwacznej i zdegenerowanej postaci? Nie wypada się chwalić, ale rozpaczać z powodu, iż się zostało puszczone w trąbę, też nie przystoi. Rozległość problemu nadała mu mrówczy wymiar. Zdrada, kiedyś rujnująca życie, zmieniająca ludzi w cienie i wiodąca do samobójstwa — dziś stała się zaledwie wstydlwym występkiem.

Byłem nadgorliwy. Jeszcze nie kłusowałem, jeszcze nie pisałem o kłusowaniu, ale już wiedziałem, że nie będzie wyrzutów sumienia ani rozterek, ani wątpliwości. Jeśli istniał jakiś kodeks, to jego główny paragraf głosił: „Pod żadnym pozorem nie wolno rezygnować”. Innymi słowy: „Kopuluj, bracie, nie przejmuj się kontekstami, w czasie twojej kopulacji reszta świata i tak przestaje istnieć”. Marzyłem, by te słowa wreszcie stały się ciałem. Wokół naszego łóżka płonęły meble, palił się dom, płonęło miasto — niechże wreszcie wszystkie teorie ruszą z miejsca! Rozpacz w sercu powoli ustępowała miejsca nadziei.

Czy przeczuwałem, że Bóg ześle mi Alicję K. z ulicy

Gruntowej w Białymstoku? Przeczynałem, ale ogólnie. Miałem — zaczynałem mieć — dobre, ale niesprecyzowane przecucia. W każdym razie myśl o natychmiastowym powrocie do domu pierzchła, rozejrzałem się, lada chwila powinien był nadjechać autobus, którym miałem odbyć drugi i ostatni etap ekscentrycznej podróży.

Zdaje się, że nie wyjaśniłem jeszcze, co w ogóle robiłem na białostockim dworcu. Jakie licho mnie tam przyniosło o tak dziwnej porze? Otóż pracowałem wtedy w dwutygodniku „Student” i redakcja od czasu do czasu gdzieś mnie wysyłała. Specjalnie chętnie latem, gdy dosłownie roiło się od wszelakich Wakacyjnych Akademii Kultury Studenckiej czy innych Studenckiej Kultury Wakacyjnych Akademii. Przyjeżdżałem niczym rewizor, sprawdzałem i pisałem raport, którego obszernie i co celniejsze fragmenty ogłaszałem w naszej gazecie.

Na oko dysponowałem potężnymi (zwłaszcza jak na tamte czasy) siłami egzekucyjno-kontrolnymi, tyle że nigdy nie zauważyłem, by moja osoba albo moje działania robiły na kimkolwiek jakiekolwiek wrażenie. Nigdy nikt na mnie nie czekał, nigdy z powodu mojego przyjazdu nie urządzano żadnego rautu, spotkania ani nawet sprzątania; nikt na mnie nie zwracał najmniejszej uwagi, wszyscy robili swoje, to znaczy nic nie robili, od wszystkich jechało wódą, i to było dobre.

Może to kwestia zmęczenia i niewyspania, może moją głowę szturmowały omamy i urojenia, których w moim życiu nie brakowało, może to, może owo, ale najwyraźniej wąską ścieżką jechaliśmy przez bagna, i to jakim gazem! Znany tylko kierowcy skrót do Tykocina? Skrót skrót, ale tu wystarczy kamień, pechowa koleina, coś, na czym podskoczmy i minimalnie skręcimy w bok, i dajcie spokój, po meczu. Żeby przynajmniej tutejsze mokradła dno miały, ale one bezdenne — autobus przez wieki całe sunął będzie w piachu i mule, aż do żaru dotrze.

Usiłowałem w lusterku dostrzec twarz kierowcy, zobaczyć, czy przypadkiem nie ma rysów skurczonych zamiarem samobójczym i czy w zupełnej desperacji nie porywa się na samobójstwo poszerzone (poszerzone o mnie — byłem jedynym pasażerem tego pędzącego, niemal latającego wehikułu), ale nie; miał surową, ogorzałą twarz, swojsko ukształtowaną regularną konsumpcją leśnych spirytualiów. Ulgę poczułem znaczną, otaczające nas mokradła nie były wrogim terytorium, pułapką natury czy śmiertelnym niebezpieczeństwem, a przyjazną krainą przez łagodne plemię bimbrowników zamieszkaną. Sieć utwardzonych ścieżek pokrywała grząski teren, kiedyś były tam tylko nieliczne ścieżki tajemne, dziś, gdzie byś nogi nie postawił, poczujesz opór, nie ma się czego lękać, nawet dno jest blisko.

Z obłoku kurzu wynurzył się drugi obłok kurzu — były to ruiny Wielkiej Synagogi, kolejne obłoki znaczyły ruiny zamku, ruiny klasztoru Bernardynów, ruiny kościoła Trójcy

Przenajświętszej, ruiny alumnatu. W ostatnim przypadku określenie „ruiny” było przesadne, zapuszczony alumnat nadawał się do kapitalnego remontu, ale w porównaniu z obróconymi w proch innymi budowlami przynajmniej stał, miał ściany i dach. Łazienki — zupełna tragedia, ale po godzinnej pracy szło się dowiercić do ciepłej wody. W pokojach urządzono noclegi dla wiceartystów, którzy czując darmowy wikt i trunek, podążali za studentami niczym kiedyś markietanki za taborami. Nie było źle. I ja, wicepisarz (miałem prowadzić warsztaty literackie), dostałem pokój w alumnacie, nie pamiętam, jak był urządzony, ale nie mogła to być zupełna nora — w końcu, gdy wybiła godzina, bez namysłu zabrałem „do siebie” Alicję K. Omiotła izbę spojrzeniem dalekim od aprobaty, ale zarazem nie sprawiała wrażenia osoby rozczarowanej umeblowaniem czy brakiem osobistej łazienki. Kobiety na ogół aprobują pomieszczenia, w których przychodzi im zdjąć majtki.

Na razie wszakże na środku tykocińskiego rynku wyskakuję z autobusu; jest godzina czwarta, góra piąta rano, już widno, już upał, jeszcze sierpień, choć po wiekuistym czerwcu i długim lipcu dni jego są policzone; wyskakuję i wpadam wprost w objęcia Sary Kaim, szefowej Studenckich Warsztatów Artystycznych. Od kiedy pamiętam, Sara szefuje takim przedsięwzięciom; złośliwi powiadają, że w ogóle jest szefową wszystkiego. Faktycznie, gołym okiem widoczna trzydziestka i ani dudu o odklejaniu się od życia akademickiego, wręcz przeciwnie.

Wtedy takie historie były możliwe: działacz studencki na etacie nie wiadomo jakim, ale dożywotnim. Aktywistka po czterdziestce, bez której uniwersytet by runął. Opiekun organizacji latami domagającej się opieki etc., etc. Czasami, bardzo rzadko, ktoś z tych wiecznych studentów otrzymywał kartę powołania i szedł do władzy, nigdy jednak wyżej niż do komitetu wojewódzkiego, to zresztą też nie było co. Ale jak mówię, rzadkie to były jednak awanse, na ogół gromada wiecznych nieudaczników (a może wybrańców) przesiadywała w małym pomieszczeniu w pobliżu komitetu; pili tam herbatę, opowiadali zawiesiste dowcipy i czekali na zbawienie. Sara Kaim różniła się od nich — by tak rzec — zapasem

witalności; była dorodna, zdecydowana i umiejętnie roztaczała wokół siebie aurę erotycznej tajemniczości. Pole do popisu miała rozległe. Ponieważ mieszkała sama, wciskano jej do łóżka najbardziej nieprawdopodobne postacie kobiet i mężczyzn. Jej narzeczony był dyplomata — wiecznie za granicą, innym razem sporo młodszym od niej piłkarzem — wiecznie na testach w rozmaitych klubach europejskich.

Była wierna pierwszej miłości. Chłopak był miły, niestety siła przebicia zerowa. Ona na studia, on raczej nic niż coś, ona nie wraca, daje mu czas na opamiętanie, on nie rusza się z Piotrkowa. Co dokładnie robi, nie wiadomo, powoli dziwaczeje, potem traci rozum.

Sara była rekonwalescentką po burzliwym romansie z pewną łyżwiarką figurową. Już nie wiąże się z nikim, ponieważ gustuje w orgiach. Każdy może ją mieć, każdy, pod warunkiem że jest cudzoziemcem i nie wie, co zrobić z dolarami. Różne wersje krążyły, nie dementowała nawet najbardziej obraźliwych. Kuriozalne (tylko kuriozalne, a więc mylące) tropy zdawała się wręcz popierać. Miała do perfekcji opanowaną minę, która wyrażała nieme zdumienie: jak na to wpadliście? Sugerowała, iż męczy ją pisanie listów, a na kolejną podróż nie ma sił, zdrowia i pieniędzy. Niby pogrążona we własnych ciężkich myślach, nie odzywała się do nikogo.

W istocie była sama, bo nie była w stanie z nikim się kompleksowo porozumieć. W tamtych czasach bycie z kimś było sztuką ustępstw. Sara kunsztu ustępstw nie brała

pod uwagę, o harmonię nie było łatwo. Jak pasowało łóżko, szwankowała kuchnia, i na odwrót. Uwielbiała zwiedzać i jeździć (nikt z wiecznych studentów nigdy nie miał problemów z paszportem), a zawsze trafiała na uwielbiających telewizję nieruchawych domatorów. Nienawidziła i nie rozumiała piłki nożnej — fanatyczni kibice jeden po drugim brali ją w objęcia. Czytała, oni nie czytali. Słuchała muzyki, oni nie słuchali. W końcu dała spokój i niejasny wniosek: „Faceci to buce”, niczym neon zajaśniał w jej głowie i odtąd świecił nieprzerwanie. Przestała układać sobie życie — zajęła się stwarzaniem pozorów.

Nieustannie na kogoś czekała, kogoś gościła, kogoś wypatrywała. Kogoś, nie byle kogo! Dawała do zrozumienia, że chodzi o najwyższy szczebel. I że związek jest w połowie emocjonalny, w połowie służbowy. Raz przeważały uczucia, raz obowiązki. Wychodziło, że z kierownictwem nie tylko sypia, ale i dla kierownictwa pracuje. Co można było dla nich robić? W sensie intelektualnym, rzecz jasna? Przemówienia im pisać? Bardzo możliwe — miała do tego dryg. A specjalny dryg miała do kreowania fikcyjnych przesłanek, iż pisze przemówienia dla kogoś ze ścisłego kierownictwa partii i rządu. Że z tym kimś łączą ją jeszcze innego rodzaju relacje, ale to nie jest aż tak istotne. Uwielbiała wymyślać układy wyższościowe, wyższością w każdym calu naznaczone. Była w tym rzeczywiście dobra. Znałem ją z widzenia, ona mnie wcale, ale nie byłaby sobą, gdyby nie

kręciła. Wyskakuję z autobusu, wpadam na nią, a ona wita się ze mną czule, jak z bratem albo narzeczonym. Po co? Wymysłów nie było sensu kwestionować. Teraz przecież także nie na mnie czeka. Ledwo się znamy. Nie wiem, o co jej chodziło. Pokazać światu, że zna wszystkich? Właściwie nie światu, a pustemu o tej porze rynkowi tykocińskiemu? Równocześnie zagląda do autobusu, wypatruje kłębow kurzu na ścieżce — kto inny tu był oczekiwany? Kto inny miał przyjechać? „Gdzie ja cię położę? Gdzie ja cię położę?” Nagle poczułem przechodzący przeze mnie od stóp do głów prąd nie prąd, nagle zobaczyłem jej dziwny uśmiech, nagle zrozumiałem. Niewątpliwie umiejętność podejmowania błyskawicznych decyzji stawiała towarzyszkę w dobrym świetle. Wreszcie ktoś zwrócił uwagę na mój przyjazd.

Zuzu nie było jeszcze na świecie. I długo miało nie być.

Alicja K., wtedy o dwa, trzy lata młodsza, dziś jest moją rówieśnicą niemal w sensie ścisłym. Dama koło sześćdziesiątki. Kłopot z nadwagą.

Sara — dama koło siedemdziesiątki. Spokojnie może już nie żyć. Od lat może mieszka za granicą. Kariery raczej nie zrobiła. Wiedziałbym. Studiowała polonistykę. Do dziś niektóre studentki tego zacnego kierunku noszą olbrzymie, pełne książek torby. Była ich prekursorką. Nosila olbrzymią torbę pełną książek. Podczas pierwszej przechadzki, widząc, jak jest zziębnięta, z elegancją wsiowego kawalera wziąłem z rąk damy ni to torebkę, ni to worek żeglarski. O Panie! Silny byłem, a przygięło mnie! Moje dłonie zręczne były, a ciężar wypuściły (Faulkner, Hemingway, Bellow, Márquez, Babel, Flaubert).

Alicja K. była zgrabną szatynką średniego wzrostu. Dziwnie się ubierała. Lato upalne, a ta w jakichś zawojach, woalach, swetrach, półgolfach — pogodziłem się z tym fatalnym sygnałem: brak biustu. Cenię prostolinijność.

Zuzę jeśli podejrzewać o brak biustu, to wyłącznie w kategoriach metafizycznych. Gdy miała własny,

nieskorygowany — już było dobrze. Nadal mnie odwiedza w wizytowych uniformach. Pasuje mi to i nie deseksualizuję jej, nie naciskam na domowość. Zwłaszcza że domowość nie wychodzi. Rozmawialiśmy. O czym? Bóg raczy wiedzieć. Poza jej urodą nie mamy wspólnych tematów. Poza jej urodą i wybitnym sposobem ubierania się. Wówczas na ogół ja mówię, ona daje krótkie, trafne uzupełnienia. Jest jeszcze pies. Jeśli nieustannie straszenie mnie, że następnym razem przyprowadzi to miniaturowe bydło, nazwiemy rozmową, to proszę bardzo: rozmawialiśmy też o psie. O tym, jak będzie buszował w moich książkach i papierach. Rasy nie pamiętam, wielce egzotyczna nazwa, za moich czasów nie było takich ras.

Wspólne życie? O tak, poruszyliśmy temat. Byliśmy już zaręczeni, Zuza przyjęła moje oświadczyzny. Bankiet za jakieś zupełne resztki pieniędzy wydałem w Grandzie. Na starość pilnuję, by większości moich ruchów towarzyszyła pewna sekretność. Grand na metafizykę miejsca idealny. Moja narzeczona uważa, że metafizyka to kasa. Coś w tym jest. Ona, jej siostra z lewym narzeczonym (umiarkowanie zamożny fabrykant słono za rolę narzeczonego zapłacił), jej brat z fałszywą żoną, o nim szkoda gadać (od jej wulgarności nie sposób było oczu oderwać), ja, Wład, trzy moje byłe, pewna trupianka i ksiądz Kalinowski. Piliśmy ostro, na wykwintne żarcie nikt nie zwracał uwagi; jak zwykle po wódce, roztkliwiłem się do granic spazmu, nagle zapragnąłem Zuzie powiedzieć, jak będzie cudownie: ja piszę, ona się krząta, tak można żyć.

Pochyliam się ku niej, ale jej nie ma, patrzę na gości, choć nieliczni, to przerzedzeni — co jest grane? Co jest grane? Najgorszy scenariusz. Wszyscy pili ostro — przebierańcy też. Przebierańców było sporo — rzecz można, dominowali. Rzekome siostry, rzekome szwagierki, rzekomi narzeczeni. Ułani, ułani, sami wybierani, wszyscy ululani. Gdy wybiła godzina, gdy alkohol rozświetlił tętnice, od początku niepewni, na jakiej w gruncie rzeczy są imprezie, goście nasi uznali w pijanym widzie, iż są na imprezie takiej jak zwykle, i dawaj wyskakiwać z łachów, i dawaj moje trzy byłe nakłaniać do seksu bez gumy! Orgia w apartamencie Adolfa Hitlera zobowiązuje! Damy, choć zazwyczaj skłonne nie do takich ekscesów, tym razem w panice zupełnej, Nulla w śmiechu szalonym; nikt nie wiedział, co się dzieje, było, jak było, trochę zbyt wyraziście, ale w końcu przeczuwaliśmy z Zuzą, że nasze przyjęcie zaręczynowe zbyt pobożne nie będzie.

Niecierpliwie czekam na moment, gdy Zuza naprawdę zrozumie, iż nie mam kasy. Jak do tej pory wszystkie moje aluzje w tej sprawie bierze za niewyszukane żarty. Co robi? Wyprowadzi się natychmiast czy poczeka do następnego ranka? Obstawiam natychmiastowość. Wyprowadzka byłaby zresztą umowna, tak jak umowne było jej mieszkanie u mnie, nie zaznaczyła nawet rewiru. Kilka kabaretowych ciuchów w szufladzie; tak jest,

płakałem w te koronki, w końcu wiedziałem: nie wyszło i nie wyjdzie.

Zuza udaje, robi dobrą minę do złej gry, ale ma dość i jest zmęczona. Ma dość zabawy w dom czy w małżeństwo. Ma dość zabawy w wolność. Niby robi to samo, co do tej pory, ale w innej aranżacji. Ma pozwolenie, ale na nic jej pozwolenie, ona żadnych pozwoleń nie potrzebuje, pozwolenie ją ogranicza. Czyli nie robi tego, co do tej pory. Prawdziwej wolności zaznaje się w pojedynkę. Na cóż moja tolerancja, skoro sama moja obecność przykra! Jesteśmy razem, ale ty robisz to, co do tej pory? Niestety, tak się nie da. Jeśli faktycznie jesteśmy razem, wszystko, co było do tej pory, zostaje przewartościowane. Wszystko, od imion bożych po telefony komórkowe. W czyjejs obecności nawet neutralny telefon niewygodnie odebrać, cóż dopiero telefon z ogłoszenia. I jak ustalać warunki? Zuza była kurwą o usposobieniu introwertycznym. Męczyły ją kolacje, na które czasem ją zabierałem.

- Wszyscy się domyślili, kim jestem i co robię.
- Nikt nic nie zauważył.
- Przecież to widać gołym okiem.
- Co widać? Nic nie widać.
- Nie widziałeś tych uśmiechów?
- Trzeba było się nie ubierać tak wyzywająco!
- A jednak...
- Co jednak?

- Byłam ubrana jak kurwa.
- Co ty gadasz?
- Zobaczmy, co powie twoja matka, jak mnie zobaczy...

Argument ten nie kończył dyskusji, ale znacznie podnosił jej temperaturę. Zuza nie chciała uchodzić za lekki kaliber, ale zarazem nie umiała uchodzić za nic innego. Sprawa rzeczywiście była poważna. Przecież prędzej czy później będę musiał przedstawić Zużę matce, i jednocześnie wiedziałem, że nigdy, przenigdy tego nie zrobię. Matka ma osiemdziesiąt sześć lat i swoje wie. Zuza może się ubrać w wór pokutny, może ostrzyć przedłużane włosy, może nie mieć makijażu, może tysiąc innych maskujących albo demaskujących czynności wykonać, matula i tak ją przejrzy. Matki, która stwierdzi, iż mam puszczalską narzeczoną, bałem się tysiąc razy bardziej niż Zuzy stwierdzającej brak kasy. Matki (jak to matki) bałem się tysiąc razy bardziej, ale też na wypadek, jakby było całkiem nie do zniesienia, miałem dobrze obmyśloną ucieczkę w głąb rzeczywistości.

Jak temu i owemu wiadomo, w latach ostatnich niepomnie rzadziej niż dawniej jeżdżę do Wisły. Siedzę w Warszawie, nie ruszam się z Hożej i w tej bliskiej ideału nieruchomości jest mi dobrze. A nade wszystko bezpiecznie. Bo nawet będąc u siebie, wciąż nie wiem, kiedy, jak i gdzie mam to zrobić. Niby widzę na

horyzoncie dogodne wieżowce, ale po pierwsze, skok z wieżowca wielką oryginalnością nie tchnie, ja zresztą nie oryginalności, ale skuteczności wypatruję; po drugie, to jest jednak odległość. Brnąć będę przez chaszczę, w celu znalezienia na bezdrożach pięciu zapomnianych gomułkowskich wieżowców? Błądził będę? Glina, trawa, łopiany? Wykluczone. Po prostu: wykluczone. Czego jak czego, ale wieżowców w Warszawie nie brak. Bliższych. Dalszych. Jakie chcecie. Wnętrze kruche jak po pożarze. Certolę się. Samobója albo się strzela, albo nie. W każdym razie nie pisze się o nim. Jeśli ktoś zaczyna o samobóju pisać (a zwłaszcza rozpisywać się szeroko), znaczy, że coś z nim nie tak. To choroba, w której więcej smrodu niż bólu. Z innej jeszcze strony — cóż może być prostsze? Mówię, co mówię. A mówię, że w warszawskim mieszkaniu nie ma warunków na popełnienie samobója. Chyba że ktoś przystanie na takie wygody, jak dostarczona pod celę trucizna, broń palna, łuk, kusza, proca? Natomiast w wiślańskim domu tyle masywnych rur pod sufitami, że żyć się chce.

Jednego dnia widziałem ją (Alicję K.) nad Narwią, a już następnego z całą odpowiedzialnością mogłem stwierdzić, iż woale, zawoje i quasigolfy skrywały biust kształtny, mocny i sprawiedliwy. Boże, nie ma większej radości niż odkryć biust kobiety, której o posiadanie biustu się nie podejrzewa. Kiedyś to zapisałem — dziś powtarzam z chęcią. Ale to są rzadkie tryumfy. Dominuje klęska. We wszystkim dominuje klęska i pesymizm. Mam spisać sumnę erotyczną, a tu nie ma summy — albo jest zdemolowana, dziurawa jak moja głowa. Wszystko jedno. Wypiliśmy sporo, po cztery setki. Wypiliśmy z beztróską ludzi młodych, którym nawet nie zakręci się w głowie. Jej nie, ponieważ, jak wyznała, alkohol zupełnie na nią nie działa. Mnie nie, ponieważ miałem przed sobą zadanie wyższe, mianowicie, jeszcze o tym nie wiedząc, układałem pierwszy rozdział wiadomo czego.

Pamiętam wszystko, ale nie pamiętam, jak ją zagadnąłem; w jaki sposób zawarliśmy znajomość — tego nie pamiętam. Obca, choć pociągająca kobieta spaceruje nad Narwią i potem zaraz łóżko. Mój ironiczny mózg wyświetla wyłącznie naturę — cywilizacja, jeśli kiedykolwiek istniała, została skasowana. Nic dziwnego: komu życie schodzi na uganianiu się za spódniczkami, ten jest na bakier z cywilizacją. A może nie było żadnej

cywilizacji w sensie ścisłym? Może nie było zagadywania, przedstawiania, zapoznawania? Może od razu buch do wyra? A po drodze buch do knajpy? Nie wiem. Dziura we łbie. Ale dziura we łbie chyba tylko w pierwszym przypadku (przypominam: najtrudniejszy pierwszy raz, potem idzie etc., etc.), pozostałe znajomości pamiętam. Jako tako pamiętam.

Każda, prawie każda uważała, iż jakoś się ułoży, iż znajdzie się jakieś rozwiązanie, iż coś się wymyśli. Coś się wymyśli, nawet jeśli on jest żonaty i mieszka na drugim końcu Polski.

Uogólniając, można powiedzieć, iż dziewczyny mojej młodości, owszem, trudniej niż ich matki szły do łóżka, za to po wyjściu z łóżka z upodobaniem wracały na odwieczne pozycje. Jakoś się ułoży. Co się ułoży? Co się, kurwa, ułoży? Nic się nie ułoży. Pakuję się i wracam do domu. I bardzo proszę cię o jedno: nie mów nic o dobrej woli. Ani słowa na ten wyczerpany temat.

Jak się już z tobą prześpią, uważają, że stanowicie parę, namiastkę pary, parę sponiewieraną i zdewastowaną, ale parę. Jest to punkt, w którym wyższość koleżanek Zuzy ujawnia się w sposób oczywisty. Spotkaliście może kiedyś sprzedajną dziewczynę, która przespawszy się z wami za pieniądze, dała następnie odczuć, że teraz jesteście parą? Wręcz przeciwnie. Jeśli udało się wam spotkać z wytypowaną laską, jeśli nie przeszkodziła (wymieniam podstawowe wymówki) nagła wizyta brata, siostry, nagła słabość żołądkowa, atak miesiączki czy inna febra, jeśli

stało się, co się stać miało — nikt tu nikomu bycia parą ani chodzenia ze sobą nie proponował. Przeciwnie, po uiszczeniu opłaty z ulgą konstatowaliście, że jej frapująca postać zbiera się do wyjścia. I mogłoby to chodzić jak w zegarku, i mogłoby to hulać jak ujarzmiony żywioł. Ale nie chodziło ani nie hulało, bo polskie wady narodowe ze zdwojoną siłą dawały znać o sobie. Kurwy na wady narodowe szczególnie podatne. Ileż razy odwoływały spotkania! Ileż razy nie przychodziły i nie uważały za stosowne wyrzec słowa przeprosin czy wyjaśnienia! Ileż razy spóźniały się niebotycznie! I ten niepisany zwyczaj, że na dziewiętnastą umówione, punkt dziewiętnasta dzwoniły i oświadczały, że niestety muszą odwołać spotkanie, albowiem brat przyszedł z wizytą. Brat był zawsze i wszędzie. Brat widział jej stroje. Brat się czegoś domyśla. Brat wpadł bez zapowiedzi.

Każda warszawska kurwa miała wymyślonych brata i siostrę; niektóre miały najprawdziwsze w świecie dzieci. Zmyślony brat był o parę lat starszy, zmyślona siostra prawie w tym samym wieku, rzeczywiste dziecko nigdy nie miało więcej niż pięć lat.

Któregoś dnia Zuza przepadła bez wieści. Poniekąd specjalizowała się w tym. Najpierw zamilkł jej telefon. To znaczy nie tyle zamilkł, ile padł całkowicie. Zuza porozumiewała się ze światem za pomocą esemesów. Starym konspiracyjnym obyczajem dźwięk w telefonie miała zawsze wyłączony, nadchodzące wiadomości wyczuwała instynktownie. Albo nie wyczuwała — wtedy zdarzało się, że odpisywała po tygodniu.

Kwestia „wyczuwała, nie wyczuwała” jest tu o tyle bez znaczenia, że esemesy szły do niej bez przerwy — wycucie przeto nie zawodziło nigdy. Jednak gdy była w ferworze, gdy finalizowała jakąś transakcję, wyjazd, spotkanie — wszystko ulegało wzmożeniu i od bezszelestnych esów aż huczało. Kiedy był spokój, na esy bezinteresowne, przyjacielskie, powiedzmy: porządkowe — też odpisywała szybko i w miarę obszernie. Poza tym jej konspiracja zbyt szczelna nie była, zawsze mógł się trafić pojedynczy dzwonek, niewyłączone wibracje albo pisk klawiszy. A tu martwota zupełna! Wszystko, wszyściutko samo z siebie wyłączone. Cisza jak makiem (na cmentarzu) zasiał. Gorączkowo ślę es za esem: co się dzieje, odezwij się, jest nie do zniesienia, piszę dwudziesty piąty raz, dlaczego mnie olewasz, może potrzebujesz pomocy, etc., etc. Nic. Głucho, cicho.

Słuchaj, jadę do ciebie, nie zdziw się, jeśli masz gościa, nie otwieraj, połóż na wycieracze zapalniczkę, będę wiedział, że wszystko jest OK.

Jak zapowiedziałem, tak czynię, jadę na znajdujące się kiedyś na peryferiach, teraz wchłonięte przez centrum osiedle. Jadę taryfą, na szczęście taksówkarz nie bawi mnie rozmową. Z wprawą zdradzanego kochanka znajduję blok, olewam ledwo pełznącą wzdłuż ściany windę, wspinam się na siódme po schodach, nie te siły co kiedyś, ledwo wchodzę, szczerze mówiąc, włożę, ale trud mój nie obywa się bez nagrody, z daleka w głębi korytarza widzę, iż na Zuzinej wycieracze coś leży. Oddycham z ulgą, proste sprawy wyjaśniają się prosto — strzelam aforyzmem, nadchodzę i patrzę. I nic. Tryumf poszedł się jebać. Na środku, na samiutkim środku wycieraczki leży symetrycznie przez kogoś umieszczone pudełko zapalek. Żaden przypadek, żadna zguba, żaden zabawny zbieg okoliczności. Mam o czym myśleć, a raczej będę miał o czym myśleć. Na razie jak oszalały dzwonię i tłukę się do drzwi. Wiem, że ktoś jest w środku. Ktoś nie daje Tetmajerowi szczekać, owija mu łeb szmatą i topi go w wannie; śmieje się przy tym, potem kładzie palec na ustach.

Muszę się zobaczyć z Józefiną. Znam wiele szczegółów, a ona jedną rzecz niemałą. Może wiedzieć, co z Zużą. Przyjaźniły się, ale nie tylko przyjaźń mogła podpowiadać koleje tragicznie zaginionej. Albo niefrasobliwie nieobecnej. Inaczej powiem: jeśli Józefina nie wie, sprawa faktycznie jest poważna. Ale Józefina raczej wie. Raczej się domyśla. Nic przypadkowego. Logika w postaci czystej. Wszechwiedzący uśmiech również w tej postaci.

Józefina sprawuje nad dziewczynami nieformalną i niepisaną pieczę. Przyjaźni się z nimi i zarazem roztacza nad nimi rodzaj niewidzialnej opieki. Niewidzialnej, bo żadna laska nigdy nie zaznała jej wsparcia ani pomocy. Zarazem wszystkie są pewne: pomoże tylko Józefina. Do niej pielgrzymują, jej się zwierzają, przed nią wypłakują. Ona dobiera im bieliznę, buty i suknie oraz uczy elementarnych kunsztów, najczęściej operowania nożem i widelcem. W efekcie Józefina wie wszystko. Wie, kto za dużo wypił, kto stracił przytomność, kto przesadził z prochami. Wie, kto kolejny raz odwołał spotkanie i kto kogo okradł. Wie, kto ma nagły przypływ gotówki, a u kogo pustki. Wie, kto pił, kto się pokazał na ważnej imprezie we wczorajszym makijażu.

Ale niełatwo jest spotkać Józefinę, i to z wielu

powodów. Pierwszy jest taki, że Józefina pracuje za granicą, a konkretnie w Szwecji. Powodzi się jej tam, ma wzięcie, czemu absolutnie się nie dziwimy — sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, zgrabna, szczupła sylwetka (biust poprawiony), długie (przedłużane) czarne włosy i biegła znajomość angielskiego robią swoje. W Warszawie bywa rzadko, tyle żeby zobaczyć się z pięcioletnim synem.

Drugi powód w zasadzie mieści się w pierwszym. Otóż szwedzki sukces Józefiny ma wymiar nie tylko zawodowy, w grę także wchodzi miłość. Jednym z klientów Józefiny był młody szwedzki milioner. Wpadł raz, drugi i trzeci — za czwartym razem był już całkowicie ugotowany. Słynna miłość od pierwszego włożenia. Zakochał się i postanowił wyciągnąć Józefinę z bagna. Ona się nie zakochała, ale postanowiła wyjść za niego, by potem się rozwieść i przy okazji rozwodu skosić mu połowę majątku. Połowę, a może sześćdziesiąt procent. Podobno Szwedzi dbają o rozwiedzione żony i gwarantują im dziesięć procent więcej. Wszystko jedno. Gość ma samochody, domy, posiadłości, cash, że szkoda gadać. Sięga do kieszeni i nie wie, ile wyjmuje — dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści tysięcy euro, i wręcza te pliki Józefinie. Ona jest z tej samej szkoły co Zuza: elegancko wzdraga się, nie potrzeba, aż tyle mi nie potrzeba — bierz, jak dają, wydasz rozsądniej niż ja, ja nie mam na co wydawać. I Józefina ulega perswazjom, i po nie za długim namyśle jednak bierze. Miłość z planem

sześćdziesięcioprocentowego zysku absorbuje Józefinę, pobyty w Szwecji stają się coraz dłuższe, w kraju coraz krótsze i coraz gęściej spotkaniami i naradami z pewnego pokroju prawnikami wypełnione.

Trzeci powód likwiduje dwa pierwsze. Wszystko mianowicie może być kłamstwem. Wypiszcie tę prawdę sprayem na wszystkich ścianach, wypalcie rozżarzoną metalową deską na wszystkich deskach, wydrapcie drutem na obu potylicznych płytach. Do was mówię, koneserzy płatnej miłości — wszystko, co kupujecie, może być kłamstwem, każdy biust, każda noga, każda fryzura może być kłamstwem, każda godzina, na którą się umawiacie, może być kłamstwem, każda opowieść, którą usłyszycie, może być kłamstwem, każdy pocałunek jest kłamstwem.

Kłamliwy pocałunek niczym nie różni się od prawdziwego? Kto tak twierdzi, pechowo obcował zarówno z prawdą, jak i z kłamstwem. W pewnym sensie tak, całkiem zaprzeczyć się nie da, ale przede wszystkim mówiąc to, wступujemy w krainę zmyślenia. Słowo jest zmyśleniem, ciało jest zmyśleniem, początek jest kłamstwem. Wielka miłość na zgliszczach zrodzona może być prawdą? Próbujcie, próbujcie, a nuż będzie wam dane.

Biednemu milionerowi sztokholmskiemu zostało dane. Zupełnie jak ja, śmiertelnie zakochał się w warszawskiej kurwie; nie wiedział wszystkiego, ale miał pewną szansę — mógł nie istnieć. Mógł być wymysłem. Cała Szwecja mogła być wymysłem, praca w Szwecji mogła być wymysłem, tamtejsze powodzenie mogło być wymysłem,

widmo szwedzkiego milionera, jego domy, jego posiadłości, jego cash — wszystko mogło być wymysłem. Tym bardziej że Józefina w opowieściach specjalnie konsekwentna nie była, raz Michel wyjmował z kieszeni euro, raz korony, raz pracował w branży budowlanej, raz w maszynach rolniczych.

Wreszcie sama autorka-narratorka zbyt długich nieobecności w kraju najwyraźniej nie znosiła. Ileż razy rzekomo bawiącą w Szwecji — widziano ją w stołecznej galerii handlowej! Niespieszona, życzliwie reagowała na pozdrowienie. Nie udawała własnej siostry, była przygotowana i na taką ewentualność, w końcu zawsze mogła na dzień-dwa wpaść z Michelem do Polski na zakupy. Wiadomo, że milionerzy lubią kupować taniej.

Nigdy u Zuzy nie byłem. Adres oczywiście znam, w końcu kilka razy udało mi się odprowadzić damę do samego progu. Nie nalegałem na jakikolwiek ciąg dalszy, taki ruch w ogóle nie wchodził w grę. Ani serio, ani żartem, ani innym poplątaniem. Po pierwsze, zza drzwi w większości przypadków dochodziło dramatyczne szczekanie Tetmajera — psi jazgot nie był jednak rozstrzygający. Nie bałem się — na Boga! — że kiedy drzwi zostaną uchylone, bestia natychmiast rzuci mi się do gardła. Moja niechęć do psów w ogólności i tego akurat wysoko rasowego kundla w szczególności nie wyczerpywała zagadnienia.

Po drugie, nie było nic prostszego, niż wyjąć zza pazuchy odpowiednią (najlepiej zawczasu podwojoną) kwotę, i wieczór nasz! Zuza pomimo zmęczenia, bólu głowy, braku ochoty i czego tam jeszcze — natychmiast zawróci, ruszymy do mnie i miłość ze wszystkimi jej przejawami weźmie nas w swoje posiadanie. Ja jednak uważałem, że w takiej sytuacji winienem być po stronie jej zmęczenia, bólu głowy czy braku ochoty. Tak — dżentelmen od siedmiu boleści — uważałem i absolutnie nie nalegałem. Popełniałem błąd, ale też strony niniejsze niczym innym jak spisem moich błędów nie są. Egzekwować od rozpustnicy rozpustę i tym w jej oczach

rosnąć? Brzmi nieźle, ale ile w tym prawdy?

Tak czy tak, nie chciała mi pokazać swojego wynajmowanego pokoju. Było to jasne i dobrze to rozumiałem. Ach, nie zgrywam się na wyrozumiałego wuja, co wszystko rozumie i wszystko wybacza. W całej tej historii pojmowałem zaledwie detale, całość (nietrudna przecież) była całkowicie poza moim zasięgiem. Zuza nie chciała mi pokazać swojego mieszkania, ponieważ nieład panował w nim nieludzki i permanentny. Wyczuwałem to instynktem pedanta, który łatwo zwęszył własne przeciwieństwo. Poza tym była cała masa przesłanek, które pozwalały dojść do identycznego wniosku drogą logiki. Zuza na przykład twierdziła, że u mnie zawsze panuje idealny porządek. Ponieważ zdarzało się jej tak mówić również wtedy, gdy był syf i nazajutrz przychodziła sprzątaczką — dawało to do myślenia. Rzec można: koncepcje porządku mieliśmy całkowicie różne. Nie jedyna to zresztą była różnica. W gruncie rzeczy byliśmy małżeństwem starej daty — nic nas z sobą nie łączyło. Krótkotrwała namiętność, średni, błyskawicznie się wypalający seks i wiwat, młoda paro! Licznych lat w szczęściu i zdrowiu!

Spała trzecią dobę, budziła się rzadko, tym rzadziej że półprzytomna nie wiedziała, gdzie jest. Bała się definitywnych ustaleń, nie pod każdym dachem chciała się ocknąć — odpadały szpitale, dołki i kliniki; odpadały prawie bez wyjątku mieszkania i komisariaty, domy, w których zdarzało się jej bywać. Miasto, a nawet parę miast, znała całkiem dobrze. Chryste Panie, mówiła sobie, gdzie ja jestem i jak tu trafiłam? Tym razem zagadka nie należała do morderczych. Przedmioty podpowiadały, nie ulegało wątpliwości, iż jest w hotelu. Jakim? Gdzie? W Warszawie? Za granicą? W Krakowie? Jakim językiem tu mówią? Strach rósł, nie było już mowy o ucieczce w sen, teraz czekała ją bezsenność, i to bezsenność granicząca z maligną. Czwarta rano nie zna litości. Ale zaraz, zaraz, przecież nie w tym tajemniczym hotelu będzie dochodzić do siebie. Czwarta rano wszędzie, ale nie tutaj. Trzeba się ewakuować. Trzeba się natychmiast ewakuować. Zwlokła się z łóżka, co okazało się wyczynem nie z tej ziemi — dreszcze, zimne poty, stan zupełnego wyczerpania — a przecież czekała ją niezmiernie ryzykowna wyprawa do łazienki. Krok za krokiem, za krokiem krok, a za tym krokiem jeszcze jeden krok. Stół, o którego blat się oparła, pełen był wszelakiego dobra — resztki zakąsek, niedopite, jak to one mawiają, driny, słowiańskie przyprawy, kartka

papieru listowego w musztardzie, góra przynajmniej czytelna: Hotel Francuski w Krakowie. Niejasne fragmenty imprezy zarysowywały się w jej głowie, muliste sceny; zawsze było tak samo — ktoś wznosił jakiś arcydowcipny toast, ktoś pokazywał sztuczkę karcianą, ktoś opowiadał nie kończącą się i pozbawioną pointy historię. Oczywiście były chwile, gdy wszyscy na ćwierć sekundy zamarli, co wynikało z nagłego uświadomienia sobie, iż seks jest i będzie na wyciągnięcie ręki; wszystkie dziewczyny jadące tego dnia do apartamentu wiedziały, po co jadą. Impreza była rozpasana, a rozpasanie słabsze od wstydu. Gospodarze raz po raz wychodzili z wybranką zmysłów i wiedli ją w odleglejsze części apartamentu, języki się rozwiązywały i prawie nic poza tym. I bardzo dobrze — jedna bania więcej mogłaby zabić, a w każdym razie jeszcze nie zaczynałoby się dochodzenie do siebie.

Tu jesteś. W oznaczonym czerwonym kółkiem miejscu. Do domu takie a takie szlaki wiodą. Daleko. Ale też blisko. Kraków — Warszawa, cóż to jest! Kiedyś tak, kiedyś — to była cała wyprawa.

Dotarła do łazienki. Spojrzała w lustro. Powiedzieć, że było kiepsko, to nic nie powiedzieć. Wszelkie zło ludzkości zagościło w jej nieruchomych rysach. Oczy zgaszone, ale nadal zuchwałe. Spojrzenie chciwe, nie wiadomo — czy wypatrujące jakiegoś alkoholu, czy innego dobra. Nieczystość w każdym wyniosłym (mimo paniki) geście widoczna. Nos samym rysunkiem wrodzoną zawiść zdradzający. Usta, choć chemią rozdęte, nadal

łakome nie tylko słodczy. Brwi nastroszone — gniew. I nieprzeparta potrzeba zaszyca się w pościeli, najlepiej z czymś do popijania; i leżenie na wieki. Na wieki wieków amen.

Znalazła na stole prawie pełną flaszkę johnnie'ego walkera (w zasadzie od zleżenia z wyra nie spuszczała jej z oka). Spróbowała, czy jakiś żartowniś nie napełnił drogocennego naczynia herbatą, ale nie, wychodzili wyczerpani i na dowcipy, nawet najmarniejsze, nie starczyło im siły.

Nie przepadała za whisky, ale poranek nie był porą kaprysów, a kwestia smaku schodziła na dalszy plan. Nie ma co grymasić.

Zajrzała ponownie do łazienki i choć humor się jej radykalnie poprawił, na prysznic jednak się nie zdecydowała. Z butlą w garści wróciła do łóżka i jakoś przez trzy kolejne dni zmartwychwstawała — johnnie walker był z tych najobszerniejszych, flaszką dwulitrową, nawet jak coś ubyło, to nadal śmiało można dwa pełne litry liczyć. Ubywać zaczęło dopiero w czasie kuracji, w trakcie odzyskiwania sprawności fizycznej. Duchowość za bardzo się o swoje upomina — damy jej trochę czasu. A bilans czasu utraconego jest następujący: impreza trzy, może cztery dni, czyli ostro; normalnie pobyt gwiazd liczy się w godzinach, i to raczej dwóch niż czterech. Dochodzenie do siebie tyleż samo — w sumie ponad tydzień. Z Krakowa do rodziców na Mazury — tam z dziesięć dni. Komórka cały czas poza czyimkolwiek

zasięgiem. Blisko miesiąc upłynął, nim w jakiej takiej formie zdecydowała do twych świątyń progu iść, za zesłaną flaszkę podziękować Bogu.

Pociągnęła z gwinta, słuchała rozprzestrzeniającej się w jej wnętrzościach jasności — to było piękne, chyba zdołała na parę minut zasnąć, potem znów było gorzej. Łyk — lepiej, gorzej, łyk — lepiej, gorzej etc. Gra toczy się o to, by złe stany nie tyle wyeliminować (takie cuda się po prostu nie zdarzają), ile raczej, by jak najrzadziej było gorzej, by w końcu nastąpił przełom oraz by we flaszcze coś jeszcze zostało — ta ostatnia wskazówka była niesłychanie ważna. Zostawiwszy sporą dozę w butelce, dajemy sobie i światu czytelny sygnał, iż nie należymy do plemienia, które dopóki jest coś na stole — kosi wszystko, co jest na stole. Taki tryumf bywa rzadkością, mało kiedy jest intensywniejszy, poprzestańmy na nim. W nagrodę przychodzi moc, a nawet wszechmoc. Kiedy chcę, przestaję, z wykwincją zostawiając widoczne pensum. Widział kto kiedy alkoholika, co godziwe pensum we flaszcze zostawia? Nikt nigdy.

Może z lekka odbiegając od tematu, wyznam: chowam urazy. Bynajmniej nie chodzi o kobiety, które nie stanęły na wysokości i mnie odtrąciły; to znaczy o nie też chodzi, ale nie głównie, nie w pierwszym rzędzie. Z pierwszym rzędem będą zresztą — w sensie przynależności — kłopoty; odkąd choruję, szwankuje mi pamięć, w najlepszym razie jest nierówna. Zdarzają mi się dawne przebliski, dominuje pustka. Niezwłocznie zapisuję (piórem w brulionie) byle jakie przygody Zuzy. Najbardziej sugestywne dotyczą dawnych narzeczonych. Oczywiście, że wtedy drży mi ręka. Nie dlatego że piszę ku przestrodze czy że piszę w ogóle. Moja ręka drży, bo Zuza lubi mówić o przyjaźni. Akurat o przyjaźni. A o takiej sobie przyjaźni w tej branży — i w ogóle — nie ma mowy. O bliskiej przyjaźni szkoda gadać. Przyjaźniłyby się, marzą o przyjaźni, ale skąd wziąć na to czas? Rychło, bardzo szybko ważniejsze są: strój bez umiaru, makijaż bez umiaru i słynne gadki, że kiedyś tak, ale dziś to gruba przesada. Sprawy powszechnie znane: błyskawiczny wzlot i długotrwały i wieloraki upadek.

Nie ma o czym gadać. Zuza jest skończoną pięknnością. Pomimo iż przechodzenie z rąk do rąk było jej publiczną powinnością, pracą zarobkową, czynnością w każdym razie jawną, pomimo iż nie ukrywała swego losu i jego

akrobacji, że była nieosiągalna, a już dotrzeć do niej celem umówienia się na spotkanie było zupełnym niepodobieństwem, Vlad — jeden z jej narzeczonych — pokonał wszystkie przeszkody. Czy zrobił to dla niej, czy dla siebie, pewne nie jest. Teraz czasy są takie, że zrobienie czegoś dla kogoś nie liczy się wcale.

Poszli do łóżka. Nie dlatego, by mieli specjalną ochotę — ona żadnej, on średnią. Poszli do łóżka, bo tego wymagała konwencja, i w ramach bycia razem, i w ogóle we wszelkich innych ramach, on robił co się dało, by jak najdłużej udawać normalnego. Poszli do łóżka, bo tego wymagała kasa. Z początku szło gładko i ta gładkość go zgubiła, przyszły kłopoty, przyszły komplikacje, i to komplikacje czyniące go bezbronnym. Poszli do łóżka niczym stare narzeczeństwo, jej pogaducha plus kilka innych plusów, on też Ameryki nie odkrył, konstatował, że dziewczyna jest fenomenalnie zgrabna, i dalej nic. To znaczy coś. Sen nie sen.

— Dlaczego? Co się stało?

— Nic się nie stało.

— Dotknąłem cię. Jeśli cię dotknąłem, to przepraszam z serca.

— Tylko tęsknota jest doskonała.

Po paru dniach uświadomiłem sobie, że tęsknię zwierzęco. Był dzień czwarty, piąty, szósty, następnym razem

małżeństwo, i mnie, i ją to zastanawiało. Ją mniej, choć czuła trudny do zdefiniowania niepokój. Za ósmym razem zrozumiała.

— Nie chcę, żebyś do mnie przychodził... Nie, nie dotknąłeś. Przeciwnie, jesteś interesujący i dobrze wychowany. Nie chcę, żebyś do mnie przychodził.

— Uważam, że to nielogiczne. Poza tym... (Logika jest na dalekim miejscu, jeśli idzie o decyzyjność. Odczuwam to. Słabo, słabiutko.) Poza tym pozwolisz, że ja sam będę decydował.

— O czym?

— Pozwolisz, że ja sam będę rozstrzygał, kiedy pójdę do burdelu.

— Widzę, że odzywają się w tobie najlepsze cechy.

— Moje najlepsze cechy dopiero poznasz.

— Nie strasz, za słabo się znamy.

— Myślę, że jest dokładnie odwrotnie.

— Teza taka sama jak inne.

— Udowodnij.

— Co tu udowadniać. Gołym okiem widać, jak pasujemy do siebie. Seks to nie wszystko.

— Moim zdaniem seks to wszystko. W jego światłach widać resztę świata.

Zuza poznała Włada tak jak wszystkich, w ten mianowicie sposób, że był jej klientem. Klientem został, wybierając Zuziną fotografię na jednym z portali. Wybrał, zadzwonił, pojechał. Na miejscu okazało się (przypadek niezmiernie rzadki), iż oryginał jest nieskończenie piękniejszy i na wiele sposobów żywszy niż kopia. Roześmiana, przyjaźnie usposobiona i fenomenalnie zgrabna Zuza była niczym samotna gwiazda na zamglonym firmamencie, niczym cudna lilija wzeszła nad błotami. Vlad, choć czubek i psychol, umiał to docenić. Na razie czaił się, ale gdy wybije godzina, skoczy. Błąd Zuzy polegał na zbyt prędkim i zbyt daleko idącym dopuszczeniu klienta do poufałości. Rozumiem, że samotność wymaga akcji, ale pierwsze słyszę, żeby kurwa swoim autem odwoziła klienta do domu! Żeby go na zakupy wysyłała, żeby mu rodzinę przedstawiała! Miłe złego początki! Osamotnieniem wszystkiego nie wytłumaczysz. Zuza wchodziła w sytuację płynnie — Vlad wyraził zgodę, Vlad sprawi, że moje życie będzie bezpieczniejsze, Vlad niczego nie chce w zamian. Jesteśmy razem, ale ty nadal robisz to, co robisz. Czyżby tego rodzaju — jak teraz widzę: samobójcza — propozycja też padła? Aż takie z Włada alter ego? Skoro mnie nie wyszło, dlaczego by jemu miało wyjść? Zuzę zawsze ciągnęło do malarycznych

klimatów, teraz miała jak w raju — ciemność nadciągała ze wszystkich stron.

— Kocham cię, kocham cię i już więcej nie chcę się tobą dzielić. Na początku, gdy cię nie kochałem, a raczej gdy nie zdawałem sobie sprawy, że cię kocham, bo przecież kocham cię całe moje życie, na początku bawiło mnie to, może nawet kręciło... Teraz już nie... Błagam cię na wszystkie ciemności, wyjdź z tego... Zostaw to...

— Ani mi się śni.

— Jeśli ty mi tak, ja ci tak.

— Jak?

— Wszystko, co do tej pory: won! Ryzykowne majtki, plugawe stringi, niewidzialne biustonosze etc., etc., won! Ręczniki, którymi pół Warszawy się wycierało, won! Zaczynasz nowe życie.

Nowe życie polega na wyrzuceniu starych ręczników? Nowe w sensie symbolicznym. Ale też w sensie zwyczajnym. Stąd śmierć niektórych przedmiotów. Cały czas będę przy tobie, cały czas, we dnie, w nocy. Zaczynasz nowe życie; śmierć niektórych przedmiotów jest tego wiekuistym sygnałem. Jeśli się nie podporządkujesz, opowiem komu trzeba, opowiem i pokażę fotografie... Skądś miał fotografie... Zuza nie mogła sobie przypomnieć, czy mu pozowała, czy nie. Kiedy kobieta nie może pewnych rzeczy sobie przypomnieć, to znaczy, że się zdarzały. Poza wszelkimi wątpliwościami się zdarzały.

Ani ja się tymi pogróżkami nie przejąłem, ani Zuza. Vlad sprawiał wrażenie, jakby sam nie wierzył w to, co gada. Niewyraźny był jak diabli. Nie sposób było czasem nie pomyśleć, że jest tworem naszych panicznych wymysłów, że jest, ale jest kłamstwem. Moje szanse rosły w tym zamęcie; oni robili, co dusza zapagnie, a ja spisywałem ich przygody. Mieli pecha, trafili na kronikarza. Ja i Zuza — pech jeszcze większy — trafiliśmy na psychopatę.

Inna rzecz teraz... Pilnowałem, żeby była, bo stale mi się zdawało, że ktoś jest. Ktoś był poza wszelkimi wątpliwościami. Najczęściej w kuchni, ale temu komuś zdarzało się łączyć po całym mieszkaniu. Niecałe pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Nie nachodził się ani nie nazwiedzał, ale był. Raz spała ze mną na kanapie. Tak, spała. Demon rodzaju damskiego. Prawie się nie ruszałem, prawie udało mi nie trafić na ciało psychotyczki.

Zuza niekiedy uciekała i kryła się przede mną. Jakimś cudem skądś wiedziałem, że nie pochłonął jej żaden trip ani domagający się nieobecności ciąg, że nie tamto, że nie owo, że nie przeczekuje złego stanu w przypadkowym hotelu, ale że w towarzystwie jednego ze swych „dobiegaczy” wyjechała do Paryża. Albo do Londynu. Albo do Rzymu lub Aten. Dostanę stamtąd widokówkę. Oczywiście ona wróci wcześniej, widokówka nadejdzie później. Widokówka — z którego świata?

Nie było wyjścia, nie było ratunku, nie było sposobu. Na zbyt wiele nie mogłem liczyć. Matka w fatalnej formie, Zuza w doskonałej. Jakby tak było, i to permanentnie, byłyby cień szansy. Przeważnie bywało odwrotnie. Odwrotnie, ale kiedyś przecież się zwrótnie. Dlaczego nie dziś? Dlaczego dziś jest jak zwykle? Liczyć, że matka zaakceptuje ją i polubi? No gdzie. Wszystko, ale nie to. Czyli? Czyli pozostaje szlachetność samobója. Czy ja przypadkiem nie przesadzam z tą ostatnią ewentualnością? I jej nieoczywistą szlachetnością? Jak pijany chwytam się płotu? W Warszawie najwygodniej to zrobić, skacząc z wieżowca. Przy czym nie należy frajersko wybierać jakichś nowych, nowiutkich apartamentowców czy hotelowców z centrum handlowym na setnym i basenem na sto pierwszym piętrze. W tych z najstrzelistszej cegły wzniesionych odach do radości miejsca drażliwe, to jest miejsca podejrzane, obstawione są przez ochroniarzy albo poddane takim utrudnieniom technicznym, że ani przystąpić. Podjechać taryfą, windą na dwudzieste, uchylić okno na korytarzu i hop, hop, świecie jedyny. Tyś jedyny, ja mnogi — pozwól, że pożegnam się pierwszy. No, nic takiego! Kiedyś nawet samobój był prosty. Podjeżdżałeś, wjeżdżałeś, uchylałeś i pa, pa. Teraz nawet z Pałacu nie da rady. Wszędzie zabezpieczenia, daszki, blokady, szkło

wiekuiste. Nie da rady się zabić? Za reżymu była to niezmiernie atrakcyjna teza: tak osaczają, że nawet zabić się nie idzie. Zbyt ni pośpiech wiedzie do niedokładności. Trzeba znaleźć spokojny gierkowski dziesięciopiętrowiec — taki, co lada chwila się rozleci, taki, którego nikt nie pilnuje. Dlaczego lot i spadanie? Bo reszta niepewna. Broń? — zawsze zawodzi. Trucizna? — wyrzynam i wypłuczą. Powiesić się? — niepewność co do krtani. Jaka niepewność? Pęknie czy nie pęknie. Utopić się — a nuż będzie po kolana. Wykrwawienie — chlasnę po przegubach, zemdleję, znajdą mnie żywego. Skok pozostaje. I to skok z co najmniej ósmego piętra, skok z mniejszej wysokości nie gwarantuje pewności, można trafić na wózek.

Kartka od Zuzy: „Pojechałam do babci. Jak wiesz, jeszcze żyje. Jest z nią jednak coraz gorzej. Odezwę się, jak wrócę”.

Nigdy nie wiedziałem, co taki tekst znaczy. Na ile jest prawdą, na ile kłamstwem. Kłamała, bo była dziewczyną, która kłamie. Sto tysięcy razy miałem chęć napisać historię dziewczyny, która kłamie. Było blisko, choć nie realnie. Miałem ochotę, ale nie zakładałem, że dziewczyna, która kłamie, jest kurwą. To przecież wiele zmienia. Może nawet wszystko. A jeśli nie wszystko, to zostaje osad, żar, muł sugerujący, że w każdej chwili wszystko może się zmienić. Postanowiłem przedstawić ją matce nie jako

kurwę, ale jako kobietę mojego życia. Ryzyko polegało na tym, że matka o wiele gorzej znosiła kobiety mojego życia niżli kurwy. Powody zbyt łatwe do odgadnięcia, by się teraz nimi zajmować. Dodam jedynie znany wszystkim banał: kurwy z natury rzeczy przelotne są. Kobiety życia natomiast dążą do władzy. A władza do nieskończoności.

Przedstawiam matce Zużę. „Miła dziewczyna — mówi wieczorem — bardzo miła dziewczyna, ale wiesz, ubiera się fatalnie, ubiera się jak ostatnia kurwa”. Gratuluję matce (oczywiście w duchu) intuicji, a nawet jasnowidzenia, gratuluję sobie wyczucia narracyjnego, ale prawdą a Bogiem — w granatowej spódnicy i w beżowej bluzce ja niczego złego, żadnego kurewstwa ani innych bluźnierstw nie widzę. Nie podejmuję jednak sporu w tej sprawie, rozumiem, że głos matki jest głosem wyższego rzędu. Wyższego rzędu, choć mówi o ubraniach? Ubrania są niezmiernie ważne. Życie w niedosycie ubrań jest ważne. Jak można przez całe życie nie włożyć tego, co by się chciało? Życie bez dzinsowej koszuli. Bez czarnego podkoszulka. Bez białych lewisów. Plemię zahartowane w braku wywalczyło wolność? A skąd! Ścisła czołówka nawet nie zdawała sobie sprawy, że istniało coś takiego jak dzinsowe koszule. Ścisła czołówka z wyjątkiem Kuronia, który zresztą z właściwą sobie lekkością przegiął w drugą stronę.

Jest wtorek, 9 września 2014 roku, siedzę w domu na Hożej i czuję, jak świruję. Zapewne z powodu samotności, czystej, niczym nie zmaconej. Jakim jeszcze znacznieszym dobrem można się jej przeciwstawić? Na przykład nauczyłem się wychodzić z domu wczesnym rano — oczywiście bez przesady, żadna trzecia czy piąta, ale siódma, ósma jak najbardziej. Wtedy też robię podstawowe zakupy spożywcze, zaopatruję się w gazety (Warszawa jest pusta jak po ewakuacji), wracam do siebie i mam poczucie, iż skończył się kolejny pełen udręki dzień. Kiedy okoliczności życiowe (pralnia albo bank) zmuszają mnie do przedłużenia porannych zajęć do dziesiątej, jestem w bezwyjściowej sytuacji i wiem, że zmarnowanego czasu nie odzyskam nigdy. Na dodatek najbliższe godziny to będzie czas widziadeł i strachu.

Uboczne a niechciane skutki branych przeze mnie leków, owszem, bywają psychiatryczne — zdarzają się zaburzenia, majaczenia, urojenia czy nawet olśnienia.

Ale to, co się ze mną dzieje, niewiele ma wspólnego z ubocznym działaniem leków antyparkinsonowskich. Omamy słuchowe? Od biedy tak to można nazwać. Słyszę głosy. Najczęściej dobiegają z kuchni. Sto razy o tym mówiłem czy tylko dwieście? Cienie postaci spotykam w przedpokoju. Krzyczę? Zawsze na pograniczu snu.

Zwłaszcza w nocy, ściśle — gdy noc ustępuje. Ktoś jest w pokoju, ktoś gadał ze mną całą noc, teraz przestał, ale krząta się słyszalnie.

Czasem myślę, że nie ma żadnych objawów ubocznych. Jest tylko dostatecznie malownicza choroba. Jest choroba szczerze obdarowująca kogo popadnie czym popadnie. Macie przed sobą dwanaście godzin, a nawet więcej, z całą pewnością więcej... Spróbujcie przeżyć. Zuzy nie ma. Nie ma kto pomóc. Ona zresztą nieskora do pomocy. Uciec od niej. Która wersja poprawna? Racjonalizowałem argumenty, spisywałem je na osobnej kartce i zwłaszcza gdy byłem wyrachowanie zimny w stosunku do samego siebie, nie zdarzał mi się ani jeden na tak. Część zapisów była obrotowa i jako argument ewidentnie służyła mojemu humorowi.

Na przykład duża różnica wieku — wiadomo: raz tak, raz tak. Ale są też warunki niezbędnie konieczne. Zapis numer 1: Dzieciństwo spędzone na wsi. Zapis numer 2: Kot zwierzę dotykowe, choć niedocieczone. Zapis numer 3: Dom — wielkie stare domostwo. Zapis numer 4: Umyślne a zabawne udawanie przez nią młodszej, przez niego — jeszcze starszego. O czym cicho sza! Kiedy nie piszę albo kiedy jedynie siedzę nad żółtym papierem i zdycham, wtedy przez kilkanaście godzin żałuję własnej pychy. Byłem pewien, że mnie to nie spotka, a spotkało. Zdrętwiało całe ciało. Prądu za mało.

W strachu niczego nie zapiszesz. Ani obojętności murów, ani zamkniętych na głucho wnętrz, ani pustych trybun piłkarskich, ani w połowie opustoszałych miast. Jeśli posłała ci widokówkę z Rzymu — oprócz setki innych znaczeń znaczy to też, że z kimś w Wiecznym Mieście była. Upływa szybko życie. Barbarzyński zapis, nie tyle nutowy, ile, bo ja wiem: liczbowy, sprawił, że byłem w stanie zagrać tę najprostszą w świecie melodię.

Wtedy Zuza przychodziła do mnie codziennie. Zawsze fantastycznie ubrana, zawsze mówiła tyle, ile trzeba, i zawsze spędzała u mnie akuratną ilość czasu. Ale to już znaczenia nie miało. Już byłem innym człowiekiem, brawurowo mówiąc: już byłem po przemianie. Geniusz Kafki polega między innymi na tym, że robak nosi w sobie ludzką pamięć i nawyki. Moja przemiana w porównaniu z tamtą funta kłaków warta, ale jest. Okazuję się człowiekiem na wskroś moralnym?

Wczoraj wieczorem ktoś na korytarzu palił papierosa, widziałem zamaszyste ruchy, słyszałem głosy.

Zacznijmy od pryncypiów — są ciekawe, wychodzi bowiem na to, że nigdy nie widziałem rozebranej (rozbierającej się) kobiety. To znaczy nigdy nie widziałem wtedy, gdy był sezon takich widzeń — w dzieciństwie mianowicie. Później tak, później widywałem dziesiątki, a może setki razy, ale później się nie liczy. Później człowiek inaczej myśli. Idzie o ten pierwszy, inicjalny czy też inicjacyjny raz, idzie o siłę wszystkich późniejszych opowieści, idzie o scenę, gdy ona jest o parę lat starsza i wie, że jest podglądana. Wie, ale nic sobie z tego nie robi, co najwyżej — ponieważ gromada gapiących się pajdokratów swoiście ją kręci — wnikliwiej bierze prysznic, dłużej myje głowę, staranniej układa włosy.

Otóż nigdy nie byłem podglądaczem ani nigdy nie byłem w gromadzie podglądaczy— i nie opiewam teraz własnej wyższości moralnej, która gdy pospólstwo zlatywało się celem pogapienia się, mnie nakazywała odwrót, pogardę i ironię. Skąd! Pogapiłbym się chętnie, tyle że nie było już na co. Łaźnie zamknięte. Nawet zimnej wody nie ma. Poprzedniego dnia, gdy z powodzeniem kończyłem symulować szkarlatynę, studentki Akademii Rolniczej rozbierały się powoli, powoli brały prysznic, gromada moich kumpli gapiła się przez dziurkę w papierze, którym oklejano szyby. Brak, z którym ścigam się

daremnie. Co by mi dał widok paru sekund dławiącej, niewydepilowanej golizny? Widocznie coś by mi jednak dał. Frazę inicjalną. Pierwszą w życiu rozebraną kobietę ujrzałem późną jesienią 1965 roku, była studentką trzeciego roku leśnictwa i brała prysznic po dwóch godzinach wuefu. Wyraziście i nieco po męsku (małe piersi, duże owłosienie) zbudowana, świetnie zdawała sobie sprawę z tego, iż jest podglądana, i nie robiła nic, by przerwać albo chociaż skrócić ten bezwstydy seans; przeciwnie, mydliła się coraz dokładniej i coraz wolniej. Już taki (nader skromny) napływ informacji pozwala uchwycić się praktycznie każdego punktu i z polotem gnać dalej. Można pójść szeroko i zreferować jesień sześćdziesiątego piątego: nic się nie działo. Można dać pseudokomiczne rozmyślenia o leśnictwie, zarówno jako kierunku studiów, jak i zawodzie rzadko wówczas wybieranym przez kobiety. Można wreszcie, ale to wymaga prawdziwej lekkości pióra, połączyć wuef, mydło i nagość. Najsprawiedliwiej zaś będzie wyeksponować własną skłonność do symulowania rozmaitych chorób i napisać, że moja perfekcja w udawaniu chorego czasem obracała się przeciwko mnie. Tak było, gdy moi koledzy podglądali kąpiące się studentki, ja zaś, zamiast stać na czele tej ekspedycji, udawałem — nie bez sukcesu zresztą — obłożnie chorego na szkarlatynę.

Zagrożeniem nie są śmiertelne choroby i epidemie, utrata odporności i średniowieczny, w niektórych przypadkach, poziom higieny. Zagrożeniem jest, co jest. Dziwka okrada klienta, alfons dziwkę, dziwka dziwkę i tak w koło. Szpanowałem, nauczałem — tak jest — jak pisać o sprzedajnej lasce, w której człowiek się nieopatrznie zadurzył, ergo jak pisać w ogóle — i trwałyby moje popisy nie wiadomo jak długo, gdyby nie postawiono mi szlabanu, którego wymowa nawet dla mnie jest jasna. Stop. A już byłem pewien, że otaczające mnie kobiety są czyste niczym konfirmantki.

No ale trzeba opowiedzieć, jak było, a tam, gdzie nie pamiętam, jak było, popisać się sztuką rekonstrukcji. Czas był trudny. Koniunktura na kurwy leciała na pysk i choć jak zwykle nie brakowało znawców, którzy wiedzieli, co i jak, nikt w gruncie rzeczy nie znał nowych reguł. Zaczynało się zamieszanie. Zuza wyjeżdżała za granicę i można było odnieść wrażenie, iż jej śladem podążały całe w miarę atrakcyjne zastępy, w kraju zostawała mierzwa; skłonny do figli mój los (mózg, temperament) sprawiał, iż w czasie kryzysów potrzeby stawały się większe i bardziej nieubłagane. Nie miałem poczucia, że zdradzam Zuzę — ona seksu nie traktowała jak normalni ludzie, seks to nie było tabu, świętość ani nawet zwykła niezwykłość. Długie

lata innej czci wyrobiły w niej rodzaj obojętności na kopulację i wszystko, co się z nią wiąże. Czasami próbowałem wyobrazić nas jako wierną sobie szczęśliwą parę — nie wychodziło, powiem szczerze.

Zuza nadal była pełna dziecięcej powagi. Jesteśmy razem, przy czym dalej robisz to, co robisz? Nie ta retoryka; innej nie było. Zuza wyjeżdżała — wiedziałem, gdzie i po co jedzie, moja zazdrość nie rosła, ale dobrze też nie było, to nie tak, że mi wisało; byłem na dnie wszystkich połowiczności i nieoznaczoności, jakie niesie dziwaczna fascynacja. Nadal mnie nie kochała, podsuwała jakieś antykryzysowe panienki, sam zresztą — wiedząc, co się szykuje — z lekka poszerzałem ofertę.

Po namyśle czuję, że nie chcę opowiadać. W tym moja zguba. Zapamiętajcie: nigdy nie należy zmieniać warunków, w mieście niejedna emerytowana kurwa chce was okraść. Zawsze. Czemu trudno się dziwić — urok przeminął, głód kasy pozostał. Nie miałem paru numerów, w tym jej trefnego. Ostateczna, finałowa rozgrywka wyglądała następująco: na pierwszy wolny wieczór umówiłem się z dziwką, której wprawdzie nie widziałem na oczy, ale miło brzmiała przez telefon oraz specjalnie przyjeżdżała z Poznania, co gwarantowało rozsądne koszty. Poznanianki czy w ogóle Wielkopolanki zachowywały ponemiecką skrętność — nie było źle. Pociąg wszakże tego dnia się spóźnił, ja jak zwykle

byłem niecierpliwy, dzwoniłem w sprawie ewentualnego zastępstwa, na koniec pomyliłem numer; byłem pewien, że rozmawiam z pełną szlachetnych uczuć poznanianką, a tymczasem rozmawiałem z posiadaczką ciała, które odmówiło posłuszeństwa dość dawno temu. Jakim cudem? A takim. Ale czekam i nie mogę się doczekać. I kto trzeba to wie, kto trzeba dowiaduje się, kto trzeba doczeka się. Panna pod płaszczykiem tak obnażona, że musiała całą drogę przebyć w płaszczyku, nawet taryfą z dworca też pod osłoną, i widzę tysiąc zbliżających się atrakcji, i daje mi ta gotowa na wszystko osoba jedną, a po chwili drugą pastylkę śmiechu. Nie ma śmiechu, jest sen trupa. Jak komuś wytłumaczyć, że wziąłem? Nie mieściło mi się w głowie. Byłem dobry, byłem zadomowiony, było miło do mnie przychodzić. Ośłupiałe gapiły się na książki i to — ośmielę się twierdzić — starczało.

Na progres moich uczuć do Zuzy to nie wpłynęło. A powinno. Jak jedna spuści cię z oka, druga cię okradnie.

„Jest Lizbona, ale nie ma konkluzji”[\[2\]](#).

Fernando Pessoa, *Księga niepokoju*

Kto chce, może się dawnych podziałów trzymać. Są mieszczy i artystki — niby odwieczna racja, a z pozoru jakże dzisiejsza. W efekcie ani ta, ani owa. Pewnie — nasłuchałem się piosenek, które w kurewstwo wstąpiły w przerwie kariery, przed jej rozpoczęciem czy dla paru groszy, które trzeba oddać. Nieraz puszczały swoje wycie z płyty, nieraz dawały na żywca. Co tu można dodać? Były chwilowe aktorki, pisarki, modelki. Pisały powieści, chodziły na castingi, czekały na telefon. Kurewstwo prawie nigdy nie było ich pierwszym wyborem. Domek pod Warszawą też nie. W sumie reagowały alkoholycznie.

Alkoholik wam powie, że właśnie dopija, potem do innych pasji wraca — tymczasem nie wróci nigdy, jest w szponach nadpasji.

Z kurwami podobnie. To, co zdawać by się mogło podziemne, chwilowe i przelotne, stałe jest i nie do przewyciężenia. Gdyby tylko taki drobiazg jak starość dało się unieważnić — nasz byłby za grobem remis. Młodość trwa długo, była już o tym mowa.

Zuza nie była ani mieszczyką, ani artystką. Lubiała pozować — przeważnie nago, przeważnie do pokątnych kalendarzy. Zatem artystka? O tyle, o ile. Żurek mogę ugotować. Coś jeszcze? Co? Zależy po co? Celem odzyskania tytułu... Ja jestem kurwa z powołania. OK,

wyjdę za ciebie.

Nauczony mało budującym doświadczeniem, wesele wydałem skromne. Nad wyraz skromne. Przyjaciele zrozumieli, Zuzie było przykro. Nagle pojąłem: ona bez pieniędzy nie ma sensu. Bez napiwków, obsypywania jej groszem, bez tego jej powściągliwego, ale jednak brania kasy. Bez porannej zapłaty noc z nią nie ma smaku. Będzie znikać bez śladu, a ja, niczym Wład nieszczęsny, za nią. A ja za nią jak za moją panią.

— Dlaczego mnie nie kochałaś? Obowiązek?

— Raczej przyzwyczajenie.

— Aż tak?

— Aż tak to nie.

— Ale trochę tak.

— Lubiłam cię.

— Ale nie na wylot.

— Na to nie ma bata.

— Na dziwki bat jest.

— Nie ma. Jesteśmy normalne.

— Gdzie zdrowie, gdzie choroba.

— Zawsze byłeś na drugim miejscu.

— Wysoko, ale też nisko.

— Wysoko.

— Lepiej wysoko.

— Lepiej w pojedynkę.

— Były inne. Piękniejsze.

- Jesteś pewna?
- Tak.
- Wiesz, że to był pierwszy moment zwątpienia?
- Jaki? Kiedy?
- Byłaś zajęta. Dzwoniłem. Umów się z kim innym — usłyszałem rzeczowy ton.
- Nie masz i nie miałaś żadnych praw.
- Chyba że za kasę.
- Proszę bardzo.
- I ty twierdzisz, że jesteś normalna?
- Tak. Chcę mieć męża, dzieci, dom...
- I tysiąc temu podobnych drobiazgów. Zdaje się, proponowałem...
- Znowu zaczynasz? Ty się nie nadajesz, ty nawet w teorii nie wiesz, co to wierność.
- Znalazła się wirtuozka wierności. Dobra. Dlaczego byłem wiecznie drugi?
- Albowiem ktoś był wiecznie pierwszy.
- Umarł?
- Wyjechał.
- Wybiła moja godzina.
- Wybiła, ale w innym sensie.
- Wreszcie mnie kochasz, mam nadzieję.
- Nie.
- Nie? No to co ja tu...
- Co zrobisz, by na powrót wrócić? Zakłęcie zapomniane, hasło spalone... Sześćdziesiątka przekroczona.

- O to chodzi... Za stary jestem.
- Głupi jesteś. Może zapytasz, co powinieneś robić, by stawkę z pierwszego miejsca otwierać?
- Co trzeba robić...
- Nie podawać tak nędznych śniadań jak z okazji naszego wesela. Chciałeś, bym ci towarzyszyła w Grandzie, ty w letnim garniturze, ja u twych stóp.
- Całkiem niezła figura. Wiesz, dlaczego niezła?
- Bo u stóp? Bo ty nie mnie kochasz, ale mój kostium kąpielowy.
- Wszystkie twoje kostiumy kąpielowe godne są najwyższych uczuć.
- A co do wierności... Ja umiem być wierna... Nawet gdy moje ciało jest gdzie indziej.

Ciekawe życie jest zbiorem ciekawych opowieści. Wystarczy po jednej, wystarczy opowieść dzieciństwa, opowieść młodości, opowieść dojrzałości i fertig. Opowieść starości? Chyba mojej. Opowieść dziewczyn z klubu? Niby nic oczywistszego, a nie dotłuczysz się.

Opowiedz najostrzejszy moment. Opowiedz wzlot, początek, schyłek. Pytania jak na maturze. Scharakteryzuj największego ekscentryka, z jakim miałaś do czynienia. Dopytywałem się wprost i nie wprost, i nigdy wprost i nie wprost słowa odpowiedzi. Uśmiechały się jadowicie, to wszystko.

Jak już opowiadały, to wspominały jakiś jeden fakt, który po latach może obrósł jakąś fabułą — mnie na nic. A cóż mi z tego, że ktoś dostał krwotoku, ktoś przyjechał na wózku, ktoś okazał się gruby aż strach? Choroby mnie w tamtym czasie wyniszczały bez pardonu. Parkinson szalał. Kręgosłup w rozsypce. Podniosłem telewizor, usłyszałem trzask zerwanej cięciwy — przeszło miesiąc bólu niepojętego. Odjęło mi mowę po operacji. Dygot wrócił w pełnej krasie. Rób, co robisz, jesteś na dobrej drodze — zapewniali przyjaciele. Nie wiedzieli, że zdradzam Zużę z jej siostrą, raczej sugerowali, bym przedśmiertnie czerpał z życia. W końcu było bardziej prawdopodobne, że kości skruszeją, kręgosłup runie, lekarstwa przyjdzie brać do

końca, a ból będzie ćwiczył. Bardziej prawdopodobne niż co? Niż wersja przeciwna? Jesteśmy w krainie bez zasad, która chce być krainą prawdomównych amiszów, albo na odwrót.

Zuza wyjechała. Moja żona, z którą nie zdążyłem nawet pójść do kina — wyjechała. Pamiętacie pierwszy uroczysty obiad, a raczej jego zamiar? W pierwszej sali dwóch jej klientów siedziało. Ilu w następnej? Oczywiście trzeba się liczyć z tego rodzaju efektami; jak się robi to, co się robi, to nie ma co udawać Emilii Plater, dziewicy bohater. Teraz wszyscy mądrzy. A Zuza była zbyt subtelna na tego rodzaju akcje. Same błędy popełniłem — wyjechała. Szukaj wiatru w polu, a raczej szukaj wśród jej koleżanek. Bo istotą obcowania jest ciągły głód nowości i zaspokajanie tego głodu. Szczerze mówiąc, takie wybuchy uczuć jak mój do Zuzy zdarzają się rzadko. Przy czym wizerunek, powiedzmy: literacki, kurwy zawsze pozytywny. Od Dostojewskiego i Tołstoja po Danilo Kiša. Od Manna po Márqueza. No, ale nie będziemy narzeczonej konfrontować z literaturą światową. W końcu sama wyznała nie bez determinacji: nie lubię książek. Tak jest. Miałem i ja ciężkie chwile.

- Ależ to jest doskonały układ.
- Jaki?
- Ja na leżaku, ty u moich stóp. Zero szowinizmu.
- A kostium jaki?
- Ostry. Najostrzejszy.
- Doceniam. Pytam o kolor.
- Ma pasować do spodni.
- Spodnie białe?
- Czyli kostium biały lub czarny. Chociaż? Ja jestem nie z tego świata. Więc może zielony? Jaszczurcza zielen dobrze podkreśli moje outsiderstwo.

Brakowało mi tych rozmów o niczym. Tęskniłem za nią, tęskniłem jak zwierzę. Nie zdradzała mnie. Uważam, że to jest kluczowe, największe odkrycie tych notatek: kurwy nie zdradzają. Zdradzają dziewczyny, narzeczone, żony; zdradzają, bo chcą zaznać intymności z kim innym, bo jest dwa tysiące powodów i tysiąc waszych idiotyzmów. Jezu, dlaczego w tym kraju mówi się ciągle o głupocie kobiet, a o niestosownej głupocie, o agresywnej głupocie mężczyzn nie mówi się w ogóle?

Pochopna dziewczyna nie szuka intymności. Ona szuka kasy, za kasę wyprzedaje się intymnie — to jednak jej wybór, jej ochota i jej przymus.

Jak powszechnie wiadomo, wiślańskie domy dzielą się na te, w których straszy, i te, w których mieszkają niezwykle pobożni tubylcy. Niezwykle pobożni tubylcy nigdy nie zaznają lęku, zwłaszcza obcy jest im lęk o charakterze religijnym. Przychodzą do nich rozmaite znane z Biblii postacie i ci znawcy Pisma konferują z nimi ile wlezie. Przychodzi utrudzony Mojżesz i lekko odklejony Abraham, podobno raz był sam król Salomon, a i dawni prorocy, z Jeremiaszem i Ezechielem na czele, bywają stosunkowo często. Kłopot jest z Nowym Testamentem; apostołowie rzadko, bo rzadko, ale wpadają, poza nimi — nikt. Podzieliliśmy nasz strach między siebie, jest z nami stale, ale też trochę go oswajamy. Czy wśród naszych przodków jakiś był amator biblijnych rozpustnic? Czy dla kogoś Księga ma wszechpojemny, ale jeden tylko wymiar? Wątpię, nie sędzę. Czas w tych potężnych mitach kuliście zastyga. Kobiety Biblii były nadzwyczajne. Córki Noego, żony Izaaka, tancerki Salomona. Estera i Ruth. Herodiada i Salome. Inne nałożnice. Cały czas równa bliskowschodnia opalenizna. Dla niektórych jest to zrozumiałe, dla innych wcale. Ale żadnej gimnastycze króla Dawida nie dałbym rady. Wolę rozlecieć się z zimna. Chociaż...

Jeślibym miał rozstrzygać, to urodziłem się w domu, w którym straszy. Nie jest to do końca precyzyjne, ale

precyzyjniejsze od arbitralnego: straszy.

Co znaczy: dom, w którym straszy? Ktoś kiedyś nie całkiem tam umarł i żywa resztką brewerie wyczynia? Energia jakaś? Siły jakieś? Zawsze mi dziwnym było, iż Bóg wszechmogący przemawia tak ułomnie. Tu wszechmoc pełna, jakie chcecie zasoby językowe, może nawet dyktafony, drukarki. A pełnia polega na chrobotaniu drewna, stukaniu w szybę. Dziś wszystkie cuda i wszystkie strachy wyjaśnione. Nikt przy zmysłach zdrowych nie ogłasza czyjejś śmierci, hałasując tym, co ma pod ręką. Albo niewyjaśnione: „Kocham cię, Zuza. Tęsknię za tobą jak zwierzę”. Facet działa jak magnes. Na starość słabnie. Nie ma co chichotać. Człowiek jest stęsknionym zwierzęciem. Wysuwają mi się ostatnie podpórki spod stóp, ostatnie listewki. Próbuję, ale codziennie jest gorzej.

Co znaczy: dom, w którym straszy? Zaburzenia pola elektromagnetycznego, zaburzenia pola, zaburzenia? Że wszystko poruszone? Straszne rzeczy się tam działy, drzwi się same otwierały.

Ciężko mi się do ciebie pisze. Nigdy nie mówiłaś niczego w naszym imieniu, nigdy się nie utożsamiałaś, i trudno, doprawdy trudno mieć o to pretensję. Żałuję, ale wiem, że nic nie poradzę. Ani nie pomogę.

„Kto przy zdrowych zmysłach zakochuje się w kurwie?”[\[3\]](#).

Mario Vargas Llosa, *Jak ryba w wodzie*

(Notabene: zawsze uważałem go za autora — w najlepszym razie — trzeciorzędnego).

Lekarze mówią o dwóch latach nadziei. Gdyby to prawda była, graniczyłyby z cudem. Co tam zresztą: graniczyłyby — byłyby cudem w sensie ścisłym! Ach, obudzić się i mówić po staremu — swoim głosem, ze swoim wsiowym akcentem, swoje szyderstwa po swojemu głosić. Raczej nastawiam się na niemotę — ona jest bliższa temu rżeniu, które teraz wydobywa się ze mnie. Bliższa niż cokolwiek. Pomyślałem, że ty już wierzyłaś za szczerze, już czekałaś na byle powód, brak kasy to było marzenie marzeń, nie mogło być lepiej, nie miałaś wyjścia, musiałaś się gazem pakować i zmiatać. Zuza! Zuza! Ciebie rozstanie nic nie kosztowało — mnie trochę. Nie licytuję się, nie chcę, żeby to tak brzmiało. Ach, nie chcę rzeczy najgorszej, ach, nie chcę współczucia, ale bywało gorzko. Kilka miesięcy po rozstaniu zadzwoniłem do ciebie. Wiem, że nie powinienem był dzwonić pod żadnym pozorem, ale byłem bezpieczny, poza tym lepszy telefon od samobója. (Są tacy, co będą się przy odwrotności upierać — na razie ich olewamy). Zadzwoniłem koło południa i ty normalnym głosem poprosiłaś, bym zadzwonił koło siedemnastej — zawsze, gdy jestem w Wiśle, o tej porze dzwonię — i dziwne i nietypowe rzeczy się działy. Straszyc zaczęło. Normalność zwyrt, normalnie i jak zwykle na telefon czekałem, nie było rozstania, nie było

rozejścia, Zuza za chwilę wszystko opowie, wytłumaczy, rozświetli ciemność mózgu. Całe trzy, cztery godziny fikcji runęły na mnie. A rozmowa — dajcie spokój — może minuta, może półtorej, bo dwie nie. Już byłaś na gazie, gadałaś coś o imprezie, o koncercie — Bóg z tobą, zakończyłem, a coś mówiło, że jeszcze nieraz i w jeszcze gorszym stylu. Na nic innego poza niestosownością nie było już miejsca.

Dom z zapuszczonymi pokojami przypomina dobrze utrzymany cmentarz — jest gdzie umierać. Uważaj, o co się modlisz — możesz to dostać. O co się modli moja — mało powiedziane — kastrująca matka? Nie o to, by być w razie czego. Modli się o to, by doceniono jej funkcje i role; nie chory się liczy, ale ten, co go pielęgnuje. Na moim tle jakie mistrzowskie występy! Ale ponieważ jej wyobraźnia jest poza śmiercią, najlepiej byłoby, jakby nic się nie zmieniało. Szlachetne pragnienie nieśmiertelności. Załatwione zresztą na sicher. Ona widywała za naszym stołem proroków i władców. Ale nigdy, przenigdy nie mieszkała z mężczyzną. Nigdy nie widziała, nie trzymała, nigdy nie wachała prochu. Tych trzydzieści lat z ojcem — śmiechu warte. Wiedziała, że facet musi być nażarty do granic i rzeczy mieć wyprane tudzież wyprasowane. To w zasadzie wszystko. Reszta przyjdzie sama. Czasami nie przychodzi — wtedy zachodzi przypadek: bez reszty. Chce, żebym został. A ja mogę zostać. Mogę zostać z każdym, tylko nie z nią. Wciąga mnie do grobu. Nasz dramat specjalnie zawily nie jest. Ale jest nie do rozplątania. Co innego gadanie o taktyce, co innego taktyka.

Tak. Zuza. Opowiadam o Sarze Kaim, Ali Kramarz, Nulli Kwiat i paru jeszcze gwiazdach, mam nadzieję, że nie poplączą się wam one, a jak się poplączą, to nic, one jakoś w sumie podobne. Nie znam cię, nic o tobie nie wiem, wstępne przełamanie lodu, choć miłe, teraz pogłębia rozpacz. Nie dlatego, że jest ktoś inny — jeśli zapłacił, to należy mu się to, za co zapłacił; ale mnie, jak przystało zakochanemu, należy się wiedza.

Jestem przy zdrowych zmysłach i jestem w pochopej lasce zakochany — pan to kwestionujesz; pan kwestionujesz całą sytuację, odmawiasz pan prawa do miłości z lekka nietypowej, a może już całkiem typowej, któż to wie? Nobla panu dali w 2010? Gdybym był powierzchownie dowcipny, wyraziłbym zdumienie, że najwyraźniej dotąd nie odwiedziłeś pan żadnego szacownego burdelu, a i z wybitną kurwą też nie miałeś przyjemności. I pan chciałeś mimo tak fundamentalnych braków zostać prezydentem Peru? Nie wybrali pana, choć dziękować Bogu nie ma za co — wybrali gorzej.

W innym miejscu swej autobiografii powiada pan, iż słowo „kurwa” przeraża pana i zarazem fascynuje. Spokojnie — w przerażeniu nic się nie zrobi, a fascynacja nie lepsza.

Chwałę u dziewczyn dozgonną i codzienną nadzieję na zmianę życia. Chwałę głód nieskończoności, wiesz, o czym mowa. Nie popełniam rzeczy lepszej i trywialnej, nie chwałę dziewczyn za techniczne umiejętności — choć z tym na ogół jest OK.

Każda z was żyje nadzieją wielkiego trafienia, wielkiej wygranej, takiej, jaką Bóg zesłał Józefinie. O ile oczywiście prawda Józefiny jest prawdą obiektywną

(myślę, że nie jest). Za dużo w tej opowieści idealnie pasujących do siebie elementów.

Nie łączę za tobą ani cię nie śledzę. Nie wychodzę z domu tylko po to, by spotkać cię przypadkiem. A długo krążyłem wyłącznie w tym celu. Za długo. Olewam twoje ulubione sklepy, bary i kawiarnie. Zrezygnowałem ze spacerów, bo znałem tylko jedną trasę — twoją. Nie sterczę pod kamienicą, nie wpatruję się z psim oddaniem w twoje okna. Na dobrą sprawę nie wiem, czy tam dalej mieszkasz. Nie próbuję zagadywać czy wręcz przekupywać listonosza. Sąsiedzi też mają spokój, nie nagabuję ich. Nigdy nie wpadłem na pomysł, by czyjeś mieszkanie wypełnić milionem piłeczek pingpongowych.

Nie bombarduję cię kilkuset listami dziennie. Esemesy tylko w sytuacjach nadzwyczajnych, nie zaglądam też do wiadomości; ach, wiem oczywiście, że nawet słowa nie napiszesz, ale złudzenia im dłuższe, tym smaczniejsze. Nie wszystko pamiętam. W tym mój ratunek. Nie pamiętam, co lubisz jeść. Wegetarianką chyba nie jesteś. Chociaż? Teraz prawie każda jest wegetarianką. Nie dlatego, że ma jakieś poglądy, ale z braku kasy. Nie pamiętam, jaka kuchnia ci sprzyja? Włoska? Znowu to samo. Polska — ojczyzna makaronu. Albo mi przejdzie, albo piszę ostatni raz w życiu. I znów ten co wtedy kłopot.

Nie szukam kontaktu ani z twoim bratem, ani z twoją siostrą, nawiasem mówiąc — jeśli istnieją. Jeśli nie —

bądź spokojna, nie będę ich szukał tym bardziej. Nie będę też nękał twoich rodziców — są moimi rówieśnikami i to niech wystarczy.

Reszta jest wzruszająca. Twoja opowieść o powrocie z dyskoteki, upalny początek kolejnego lipcowego dnia. Masz szesnaście lat, oni niewiele starsi. Wszyscy wiecie, co się za chwilę wydarzy.

Ogarnia cię niewysłowiona lekkość. Wadę ten stan ma tylko jedną: ciężko go powtórzyć. Nie ma recepty. Powinien być duszny poranek po nocy pełnej nieostrożnych napomknień. Reszta nie do ustalenia. Marka samochodu? Jakiś sędziwy japończyk o opływowym dachu specjalnie utkwiał ci w głowie? Mnie też. Pierwszy raz słyszę opowieść tak pełną wdzięku i zarazem swoistej wulgarności, czaru i pornografii, niewinności i zepsucia. Brali cię kolejno na dachu starego auta, przedtem rytualny wjazd w boczną leśną drogę. Chciałaś tego?

Nie będę analizował twoich notatek. Nie będę grzebał w twoim pamiętniku (jeśli w ogóle prowadzisz coś takiego), w końcu, żeby napisać opowiadanie, trzeba co najmniej kilka opowiadań przeczytać, z powieściami jest tak samo. Niekonieczne wydaje się to w przypadku konstrukcji skrajnie indywidualnych, takich jak dziennik czy pamiętnik.

Można zakochać się w kobiecie, która nie lubi książek? Można, ale po co? Kto przy zdrowych zmysłach zakochuje się w kobiecie, która nie lubi książek? Nie wiem, czy groźba napisania bez lektur instruktażowych działa? Jeśli piszesz — co czytałaś? Nic? I tak działa. Czy nadal działa? Wracam do tych kawałków z poczuciem zawstydzienia i nieumiejętności. Niby straciłem mowę, a w istocie straciłem ciebie. I po cóż te zapewnienia, że nie będę niczego szukał w nieistniejących zapiskach, urojonych notatkach czy nawet realnych telefonach — po co te kłamstwa, skoro duszę, pasmo po paśmie, będę roztrząsał? Nie dałem rady Nulli, nie opisałem jej jak trzeba, wolę milczącą Zuę. Czy łatwiejsza do opracowania? Któż to wie? Nie mam jej języka. Musicie mi na słowo uwierzyć, że jest piękna. Sam siebie muszę przekonać, że jest interesująca.

Matka nabrzmiewa chwałą. Jest właściwie głucha. Głuchota — moim zdaniem — zrodzona z komunikacji z psami. Ale nie upieram się, mogą być inne źródła, genetyczne choćby — jej matka, a moja babka, koło osiemdziesiątki zapadła na całkowitą afazję. Byłem przygotowany na rozmaite opiewania, ale głuchotę — tego byłem pewien — zostawiamy. Tymczasem nabrzmiewa chwałą i jak zwykle głosi swoją wyższość nad innymi stworzeniami.

Przypomniała mi się Marta N., miała dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć lat i wygląd zupełnego dziecka. Wpisuję ją na listę strat. Nie żebym miał do kogoś jakieś pretensje, ale celem uporządkowania doznań. Postanowiłem spisywać tylko najważniejsze spotkania i Bóg mi świadkiem, iż chciałem dobrze, od małżeństwa niepodobna nie zacząć.

Ta noga, ten biust, te ramiona, ta bardzo ciekawa czacha blond. Budziłem się ostatnimi czasy często i zawsze była przy mnie Zuza, i dziwiłem się, że na takim brzeżku, praktycznie bez kołdry, potrafi spać tak głęboko. Jej sen uspokajał, rano jej nie było, starałem się nie myśleć o niczym.

Jeśli to miały być przywidzenia, to co nimi nie jest? Zuza! Znam każdy cień twojego ciała!

Zuza nie była zjawą. A może była? Jak rozstrzygnąć byt dorosłej kobiety o wyglądzie dwunastolatki i ciele dziewięcioletniego chłopca? Napisała: „Chcę, żebyś mnie przeleciał. Piszę wprost, bo jestem niecierpliwa”. Zdradziłem Zuzę. Nie poprawiło mi to humoru. Nie jestem doktrynerem. Nie musi być pełne sto osiemdziesiąt centymetrów, ale jak jest? To samo z biustem, nogą, tyłkiem. Nie musi być. Ale jak jest?

Tak piękne i tak zjawiskowe kobiety mają w sobie coś niezemskiego. Mają. Ale to nie znaczy, że za sto pierwszym razem zmienią cokolwiek.

Nie ma z nią kontaktu. Może wyjechała, bo zdarzył się cud? Taki jak Józefinie? Wykluczone. Dwa te same zagrania o tej samej porze? Nawet rachunek prawdopodobieństwa nie idzie tak ostro.

Nie znaczy, a może znaczy. Co się nie zgadza? Za głęboko. Nie wiem, jak to zrobiła. Trzykrotnie. Ale potem już nigdy.

W domu w Wiśle panuje Wieczna Zima. Wzmoczona nieskutecznym oszczędzaniem na grzaniu. I tak trzeba palić, i tak trzeba bulić. Jako kryjówka przed upałami — konstrukcja wręcz idealna — i służy tyle, ile trwają upały w górach. Trzy, a może i cztery dni. Rocznie. Ślady ojca coraz mniej widoczne — zasnuwają je ślady matki.

Jaka jest sytuacja? Zła. A nawet rozpaczliwa. Jestem w fazie fatalnych domysłów. Zuzy nie ma. To pewne. Wyjechała? Nawet jeśli tak, to w dzisiejszych czasach zewsząd można zadzwonić, zewsząd można wrócić. Nawet choćby nie wiadomo jak mocno była obstawiona, choćby wszyscy Władowie świata pilnowali jej i strzegli, Zuza dałaby radę się wyrwać. Na tyle, by dać jakiś znak, na tyle, by zadzwonić czy puścić esa. Czyli decyzja, by nie odzywać się do mnie, to jest jej decyzja, coś przestało iskrzyć, nie kochała mnie nigdy, więc nie było jej trudno, z drugiej strony byłem zawsze lojalny i jakie takie oparcie we mnie miała, a w ciemę nie była bita, wiedziała dobrze, iż w tym fachu nie wiadomo kto i nie wiadomo kiedy może się przydać. Nic, tylko nagadał ktoś na mnie. W tym gronie nie brakowało fantastek z rozrośniętym poczuciem winy. Albo mitomanek na ciężkich prochach. Zresztą nikt tu nie był tym, za kogo uchodził, tym, za kogo się podawał. Vlad na przykład. Przecież ja nawet nie wiem, jak człowiek wygląda. Był? No nie wiem. Taki a taki, marynarka i spodnie. Niczego więcej nie pamiętam. A był. Zuza nawet przez pewien (na szczęście krótki) czas była nim zainteresowana. Kim? Wśród ślepców jednooki królem? Wśród skrajnie bezkrwistych anemiczny carem?

Zuza daje mi znać: żadnych kontaktów — to znaczy? Jak

dalece celowy jest taki przekaz? Jak dalece przypadkowy?

Przecież z tą widmową konstrukcją, widmem jako takim, to skończona brednia. Pomijając stan nauki u progu dwudziestego pierwszego wieku, to po prostu miałem ją parę razy i do teraz czuję jej wymierną wagę. Tak, za dużo było, za dużo o jakieś pięć kilo, ale tym bardziej nie ważyły tyle cyborgiczne półprzewodniki, ale żywe ciało Zuzy. Jej nogi, jej korpus, biust, jej głowa. Jakie widmo? Żywa, z krwi i kości dupa! No ale fakt faktem, teraz ani widu, ani słychu. Ani jej syntetycznej, ani prawdziwie żywej. Ani z domieszką, ani bez domieszki. Kontakt jednostronny — tyle w najlepszym razie może jej milczenie znaczyć. Siedź przy telefonie i czekaj — tyle w najlepszym razie mi przekazuje. W najlepszym razie, bo wszystko, co w tym przekazie dobre, pochodzi ode mnie. I dni układają mi się w dwie serie. Seria pierwsza: siedzę i czekam na znak od niej, i seria druga: nie czekam. Nie tylko nie czekam, ale wszystkimi siłami daję znać, także samemu sobie, że nie czekam, że mam multum zajęć, że w razie czego oczywiście tak, ale kiedy, nie wiem.

Furia mną trzepała, nie radziłem sobie. Jeśli ktoś tę akcję planował — czynił to perfekcyjnie i co do minuty. Furia zaczynała się nad ranem i trzymała do południa. Gdyby Zuza choć jedną setną z tego słyszała, miałbym ją z głowy. Ona jednak nie słyszała, no bo jak? Koło południa łagodniałem. Popołudnie mijało mi na pełnej wyrozumienia tęsknocie — kładłem się podszyty lekkim niepokojem, dwie, trzy godziny snu i z boku na bok

zaczynała się powtarzalna katastrofa.

Siedzę w Wiśle, co nie bardzo jest realne. Drugi miesiąc — nie ryzykowałem dotąd tak bezbrzeżnych terminów. Bywałem krócej, żyłem intensywniej, jeśli tak można nazwać rozmyślenia nie całkiem legalne. Czyli o kurwach i książkach, albowiem te dziedziny zawsze będą jakąś anatemą obłożone. Z drugiej strony, są pewne niebłahe rzeczy, o których tyle wiem, ile o nich przeczytałem. Śmierć, Bóg, Szatan, zło, samobój i parę innych — przeważnie negatywnych w wymowie — zagadek. Jak wiadomo, nikt nie ułożył tylu dobrych zdań o samobójstwie (dochodząc wieku zgoła niesamobójczego), co Emil Cioran.

„W samobójstwie piękne jest to, że jest ono decyzją. W gruncie rzeczy bardzo nam pochlebia fakt, że możemy sami siebie wyeliminować. Samobójstwo jest samo w sobie czymś niezwykłym. Rilke mówi o śmierci, którą w sobie nosimy, ale tak samo nosimy w sobie samobójstwo. Myśl o samobójstwie pomaga żyć. Taka jest moja teoria. (...) Otóż powiedziałem, że gdyby nie myśl o samobójstwie, dawno bym się zabił. Co miałem na myśli? To, że życie da się znieść jedynie dzięki świadomości, że możemy je porzucić, kiedykolwiek zechcemy. Jest ono na *naszej* łasce. Ta myśl nie tylko nie odbiera ochoty do życia ani nie wtrąca w przygnębienie, lecz przeciwnie — przyprawia o upojenie. W gruncie rzeczy jesteśmy

wrzuceni w ten świat i nie bardzo wiemy dlaczego. Nie ma żadnego powodu, byśmy tu byli. Ale myśl, że możemy zatriumfować nad życiem, że *trzymamy w rękach* nasze życie i możemy opuścić ten spektakl, kiedy nam się spodoba — ta myśl wprawia nas w uniesienie”[\[4\]](#).

Co pozostaje jeszcze do objaśnienia? Nagła pewność, że ją spotkam po powrocie do Warszawy. I to w jakich okolicznościach — mój Boże! A w takich, że wszystko wskazywać będzie: szuka mnie, potrzebuje pomocy, wyobraża sobie moją postać na granicy fascynacji!

Ludzie, stało się! Prawie mnie — strach wymawiać niewymawialne — pokochała! Ludzie! Jestem z Zużą. Czuję się jak dziewiętnastoletnia laureatka grand prix festiwalu. Marzenia się spełniają — mówi wielka wygrana. Pozostaje marzyć. Ciekaw jestem. Intuicja podpowiada olbrzymie obszary wspólnych spraw i przedsięwzięć, wspólne interesy, ale i wspólne przyjemności; gdybym zawierzył mojej intuicji w całości, znaczyłoby to, że straciłem nosa; podziwiam moją intuicję, mogę nawet powiedzieć, że ją kocham, ale jej nie ufam. Chętnie podejmę się współdziałania, ale połowa nam wystarczy. Bylebyś była, bylebyś chciała. Mało czasu, przeszło rok, półtora zaledwie, a ja wielu rzeczy nie pamiętam. Kolorowe biustonosze — pamiętam, ale czy jakaś barwa dominuje? Nie wiem. Jesteś blondynką, oczywiście, blond długie, proste, przedłużane włosy. Za moich czasów blondynki o nieprzedłużanych włosach to był ideał (cokolwiek to znaczy) urody damskiej. Gdyby wtedy było tyle rywalizacyjno-lanserskich programów,

tyle reality shows, tyle pokątnych teleturniejów, byłabyś królową tamtych czasów. Niestety, przyszło ci żyć w epoce tryumfujących brunetek — i dobrze, i przerażająco.

Źródło klęski w przesadzie, przesadna troska o efekt psuje wszystko. Lodowate pola, niekończące się lodowiska. A na tych lodowiskach lud w szalikach tańczy. Przesadziłem z tęsknotą za samotnością, z jej spełnieniem, z jej uprawianiem, przesadziłem z samotnością. Jakże gorzkie moje zwycięstwa. Uważaj, o co się modlisz — możesz to dostać.

Jak niektórzy pamiętają, zacząłem od pochwały sztucznego biustu. „Lepsza sztuczna konstrukcja niż anatomiczna klęska” — brzmiał mój koronny argument, kilka pomniejszych też było niezłych. Co sztuczne piersi, to sztuczne etc. Jedną mają wadę — i jest to wada niemała. Że są wybuchowe? Owszem, zetknąłem się z tą bajędą, ale nie o niej myślałem. Sztuczny biust, jak każdy przedmiot, jest wytworem ludzkich rąk i jako taki może być fuszerką i może być arcydziełem. Prócz tego dochodzi kwestia instalacji — można to uczynić bezbłędnie, można i sfuszerować. Nic więcej może prócz tego, że jeden nieudany zabieg przesłoni dziesiątki udanych. Jedna wada ma siłę przebicia nie lada, przesłania, co dobre. Prawdziwa wada sztucznych biustów polega na tym, że są one podobne, a nawet identyczne. Przez to ich właścicielki też zyskują na podobieństwie i można wyobrazić sobie armię biuściastych dziewczyn podobnych do siebie jak

jasny gwint. Nieoperowane biusty bywają różne, poza klęskowymi bywają, jakie chcecie. Długie, gruszkowate, zbyt miękkie, zbyt twarde, wiotkie, dumne, strome itd. Te wszystkie różnice ulegają zglajchsztowaniu — operacja daje wynik dobry, ale mało zróżnicowany. Być może przyjdzie nam żyć w cieniu piersi skorygowanych, czyli w pewnej monotonii. Bywają wszak na świecie rzeczy jeszcze mniej urozmaicone.

Wypełniło się, dopełniło się! Stan zdrowia nie pozwala mi praktycznie na nic. Zabawy z Zuzą — nie w głowie mi one. Z jej koleżankami? Nigdy mnie to nie brało. Koryntianka proponująca koleżankę nie dla wzmożenia orgii to czyni, ale z dbałości o kasę koleżanki, która ma mniejsze wzięcie. To zachowały z „cywila”: niezłej zawsze towarzyszy kaszalot. W jej piękności się grzeje, w miarę wypijanej wódki pięknieje. Swoją drogą ile można wypić, aby uwierzyć? Jaka objętość gwarantuje przejście do naiwności aż takiej?

Ja mogę co najwyżej być rad, że zdążyłem to i owo zasygnalizować, zdać sprawę z myśli i marzeń, wyrazić zachwyty — bo jednak zachwyty było najwięcej i był powtarzalny. Ach, mówiąc o myślach i marzeniach, nie mam najmniejszego zamiaru przerzucać dotykanej problematyki na jakąś idealistyczną płaszczyznę i stwierdzić: zdawało mi się! Cała miłość do Zuzy była fantazmatem, obecnie jak fantazmat pierzcha, a ja zapamiętane odcienie spisuję, z pogorzeliśka uczuć i tęsknot wydobywam jakieś ocalałe napisy i faryzejsko szydę z tych, co mi uwierzyli. Fraza: „Zabawy z Zuzą — nie w głowie mi one”, może sugerować, iż cokolwiek tu się działo, działo się tylko w mojej głowie. Skąd! Cała historia była jedną z najpewniejszych i najtwardszych w

moim życiu, tłułem głową o mur, za wszelką cenę próbowałem dostać się do środka i to jedno mi się nie udało, byłem blisko, nie miałem tematu, to mnie zgubiło. Kurwy na brak tematu albo na temat źle dobrany cięte specjalnie. Co wchodzi w grę? Powoli, powoli. Najpierw ustalmy, co odpada. Odpada wszystko. Powiedzmy: prawie wszystko. Sztuka bycia prostytutką to sztuka hartowania się w samotności. W przeciwnym razie dziewczyna skazuje się na wysłuchiwanie zwycięskich monologów niezwykle lotnych koleżanek (nigdy nie będzie tak lotna ani tak zwycięska), na debatę o rosnących cenach operacji plastycznych, na baśnie o dużej forsie, która jest w zasięgu. Na porównywanie identycznych biustów? Nie zetknąłem się — prawdę powiedziawszy. Co zostaje? Zostaje miłość do zwierząt. Zostają psy i koty. Miłość przesadna, ale dająca pozór normalności. Zostaje lektura. Jeśli czyta, da radę. Tyle że ja osobiście na czytającą nie natrafiłem. Bezbrzeżnie smutne mieszkania bez jednej książki, jeszcze smutniejsze pokoje bez jednego mebla — trudno liczyć materac na podłodze. Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie winię panienek za mizerny stan czytelnictwa, nie domagam się, by czytaniem książek swoją duchowość poprawiały. Konfrontuję jedynie ich odporność na pustkę z darem samotności. Gdybym nie miał co czytać, nie dałbym rady.

Drugą sprawą niedopowiedzianą albo tak tendencyjnie dopowiedzianą, że budzić może niewłaściwe reakcje, jest paradoks bycia kurwą z konieczności. Ja otóż zdawałem

się twierdzić, że w zasadzie kurewstwo z konieczności nie istnieje, że przynajmniej wierchuszka tego zawodu lubi ten zawód i wszystko, co stanowi jego istotę, to znaczy kasę i seks. Szybka kasą i szybki seks. I tak jest niewątpliwie, choć odpowiedź powinna być bardziej wycieniowana. Otóż niewątpliwie istnieje kurewstwo z konieczności, ale zawsze jest ono poprzedzone jakimiś myślami, wyobrażeniami, kto wie czym. Masa kobiet jest dzień w dzień w przymusowej sytuacji, decydują się tylko nieliczne. Oswojenie niechcianego dotyku. Jak się to odbywa? Alkohol pomaga?

Linda S., zgrabna brunetka, przyjechała do Warszawy z południa Polski z precyzyjnie ułożonym planem działań inwestycyjno-finansowych. Jak wszystkie zgrabne brunetki, które tęsknią za szybką kasą, miała zamiar sporo zarobić, a potem rozkręcić coś własnego. W przeciwieństwie do większości koleżanek, które pomysł na życie miały identycznie naiwne, Linda miała pewne szanse. Była zdecydowana i zawzięta. Zaczęła z ogniem, pruć jak szatan. Była konsekwentna i miała dobre maniery. Pilnowała, by klient w jej towarzystwie dobrze się czuł. Długoterminowa strategia sprawdzała się. Wracali. Wśród nich — niechaj pod tym i tylko pod tym imieniem będzie znany — Vlad. Słynna miłość od pierwszego włożenia. Z wszystkimi przyległościami. Postanowił ją wyciągnąć z bagna. Ona nie chciała. On się upierał. Ona kombinowała, jak się go pozbyć. Nie było to łatwe, zakochał się toksyczną miłością. Żył o tyle, o ile

ona żyła. Zastanawiała się, czy go nie zabić, ale nie było potrzeby — Wład obiecał jej w prezencie gustowny burdel, w którym ona pełnić będzie kierownicze funkcje.

PB czuwa nade mną i chce mi wynagrodzić postne dzieciństwo. Domy na Hożej — na ogół cztero-, pięciopiętrowe budownictwo w stylu wczesnego Gomułki. Od czasu do czasu szczyt luksusu tamtej epoki — plomba. Mieszkam w takiej plombie. Gdyby nie bezkrwawa rewolucja, która zmiotła system, kto wie — może byłbym działaczem, który ze swego maleńkiego mieszkania (pięćdziesiąt metrów) ma blisko do pracy w KC. Pięć minut piechotą. Gdy kilkanaście lat temu osiadłem na Hożej, pomimo bezliku okien — żadnych widoków. Rozumiecie, co mam na myśli? Dopiero wczoraj oczekiwanie zostało nagrodzone. Para młodych ludzi, którzy najwyraźniej wynajęli, a może kupili mieszkanie naprzeciwko, pół nocy tańczyła nago i przy podniesionych żaluzjach. Lornetka drżała w moich dłoniach, cały obraz był poruszony, on duży i masywny, ona drobna i chuda.

Kręgosłup w rozsypce — ból niepojęty, zwłaszcza przy wstawaniu. Dygot od prawej nogi idący i całe ciało obejmujący. Niemota, a w każdym razie duże, a nawet bardzo duże kłopoty z mówieniem. Można to uznać za komplikację pooperacyjną, rzecz się zdarzyła podczas stymulacji elektrycznej; zapewniano mnie, że lada chwila paraliż mowy sam się cofnie, tymczasem raczej się pogłębia. W każdym razie częściej tracę wiarę, chwile euforii rzadkie, tak rzadkie, że prawie ich nie ma. Co jest? Przepuklina — tym razem prawa strona, naddarta jest i wyczuwalna, zobaczymy, czy się „sama cofnie”. Reszta to drobiazgi: drętwienie rąk, obrzęk stóp etc., etc. Byłem pewien, że mnie tego rodzaju przypadłości ominą — nie ominęły. Dawniej — w epoce drinków — człowiek się budził z choroby do zdrowia. Raz szło wolniej, raz szybciej, ale generalnie zdrowie wracało. Dziś jakbym na krze stał: patrzę, nadpływa kolejna, masywniejsza, lepsza — skok na nią, tak samo chybotliwie, w ogóle tak samo, a nawet gorzej. Skaczę z kry na krę, z choroby na chorobę. Zero leczenia. Całymi partiami wycofuję się z rzeczywistości. Sama niemota do tego wystarcza. A jak nie niemota, to nędzne, żebracze rzęzenie. Powiedzieć coś za wszelką cenę. Zdążyć. Nie zdawałem sobie sprawy, co znaczy mówienie, w ilu sytuacjach jest niezbędne. „Ty nie

masz gadać, ty masz pisać” — żartowaliśmy, zanim sytuacja zaczęła nabierać grozy. Długo nie trwało. A teraz weźcie, teraz „wy potraficie” zamówić taksówkę przez telefon, zrobić zakupy, dogadać się na poczcie, napisać książkę o miłości do Zuzy.

Przecież to powinno zupełnie inaczej pójść. Pierwsze spotkanie — zachwyty. Drugie, trzecie, czwarte — to samo. W końcu ulega. Idziecie do kina. Ona w sprawie kina czy jakiegokolwiek wspólnego wyjścia gdziekolwiek walczy i wreszcie ulega, jakby szło nie wiadomo (a raczej dobrze wiadomo) o co. Nie da się napisać historii miłosnej bez wejścia w drugiego człowieka. Bez pozbawienia go wolności. Spałem z Zuzą, ale jej nie miałem. Miałem Zużę, ale w istocie nie z Zużą, lecz z jej ciałem obcowałem. Byłem w niej — nie byłem z nią. Byłem tak blisko, że bliżej nie można, w istocie trzymała mnie — jak zawsze — na dystans. Tak brzmią skargi tych, co mieli, a nie mieli. Do zdecydowanej większości przemawia milczenie ciała. Ciało milczy, a tyle, gdyby chciało, miałoby do opowiedzenia. Mylę miłość z zachwytem? Możliwa jest taka pomyłka? Przez stulecia ludzie się zakochiwali, bo byli zachwyceni.

Potem pierwszy wspólny wyjazd. Do jej rodziny na Ziemię Odzyskane. Specjaliści od dławiących fabuł twierdzą, że on nie powinien wiedzieć.

Od czasu do czasu coś mu nie gra, coś się nie zgadza, ale generalnie nie wie. Pastuszek zakochany po uszy. Prostaczek rzucony w świat niemoralny i kłamliwy. Nie ciekawi mnie takie ujęcie, nie ciekawi zupełnie. Weteran bojów erotycznych zakochany w cielesnej doskonałości. Ona wie o nim prawie wszystko i on o niej wie niemało. On nieruchomy i ona nieruchoma. Ona nie dopuszcza komplikacji emocjonalnych, on myli zachwyty z uczuciem. Czy jest możliwa miłość bez zachwyty? Wtedy odpowiadaliśmy: nie. Wtedy zachwyty był czymś absolutnie najważniejszym. Pierwszym. Warunkiem miłości. Świat kobiet był w istocie mały — sprowadzał się do paru rzekomych piękności, przy czym oddzielanie piękna od niepięknego nie było naszą mocną stroną. Frajersko i w za dużej liczbie startowaliśmy do tych pięknotek, nie ma się co dziwić: klęska szła za klęską. Nawet te malowane lale widziały naszą pustkę. A liczba mnoga nie oznacza w tym wypadku zbiorowych wspomnień z podstawówki. Jeszcze na studiach byliśmy zakładnikami własnych — co tu kryć — infantylnych wyobrażeń. Byliśmy na przykład zakładnikami formy. Wszyscy chcieliśmy mieć dziewczyny bezwonne, jak na rzadkich ilustracjach. Cielesne, ale wydobyte z kontekstu biologicznego. W ostateczności pachnące farbą drukarską. Że niby nie było tego typu ikonografii? Była, tyle że niedokładna. Nieszczelna jak nicość. Ktoś coś widział. Ktoś coś przywiózł. Przypadkowe spotkanie (niekoniecznie nad Narwią) pamięta się po przeszło pięćdziesięciu latach. Jak wtedy,

jak kiedyś. Na basenie w Wiśle. Dziewczyna nie zwracała powszechnej uwagi, ponieważ nie była banalną piękną, nie była eteryczną, długonogą i długowłosą blondynką, nie miała na sobie fantazyjnego kostiumu kąpielowego. Przeciwnie, miała dość zabudowany, ale jednak dwuczęściowy czarny kostium. Nieelastyczny. Epoka elastycznych kostiumów zbliżała się dość prędkim krokiem, ale na ziemi polskiej nie dotarła jeszcze. Ta młoda kobieta siedziała przy stoliku w sposób — dziś nie umiem nazwać tego inaczej — naturalny. Siedziała, bo siedziała, siedziała, bo się jej chciało siedzieć. Inaczej: siedziała wolna od kajdan kokieterii. Spójrzcie na mnie, jak ja pięknie siedzę, jak jest ułożona moja ręka, noga, głowa — nawet tego rodzaju delikatne sugestie, nie mówiąc o rozkazach, nie padały ani pod moim, ani pod niczym adresem. Laska, choć wyrażenie to nie było wtedy znane, siedziała w sposób znamionujący wewnętrzną siłę i brak jakichkolwiek kompleksów, i to, a nie uroda przykuwała do niej uwagę. Siedziałem blisko, przy sąsiednim stoliku. Co z tymi stolikami? A to, że napomknąwszy, iż akcja (akcja mojego spojrzenia) toczy się na basenie w Wiśle, nie byłem dość precyzyjny i nie dodałem: w kawiarni przy basenie, bo tam znajdowała się ciesząca się dość dużym powodzeniem kawiarnia.

Czarnula знаła sporo ludzi, wtedy w niezrozumiały dla mnie sposób było to denerwujące, ale fakt faktem — raz po raz ktoś do niej podchodził, witał się mniej lub bardziej wylewnie, coś jej szeptał na ucho. Słowo daję, znała

wszystkich prócz mnie. Nie zamieniłem z nią słowa, choć chyba nie było to trudne. Leczyłem jakiegoś młodzieńczego kaca, piłem oranżadę i rozglądałem się leniwie. Nieznajoma piła piwo i jadła bułkę z szynką. Tak, teraz sobie przypominam: kawiarnia przy basenie była popularna, bo długo przed i długo po dwudziestym drugim lipca szło tam kupić bułkę z szynką. Jadła tak, jak siedziała, o okruszynach spadających na jej skórę nie myślałem pięćdziesiąt lat bez mała...

(Tu rękopis się kończy albo urywa)

-
- [1] Tłum. Adam Pomorski.
 - [2] Tłum. Michał Lipszyc.
 - [3] Tłum. Danuta Rycerz.
 - [4] Tłum. Ireneusz Kania.

Zuza
albo czas
oddalenia

**JERZY
PILCH**

